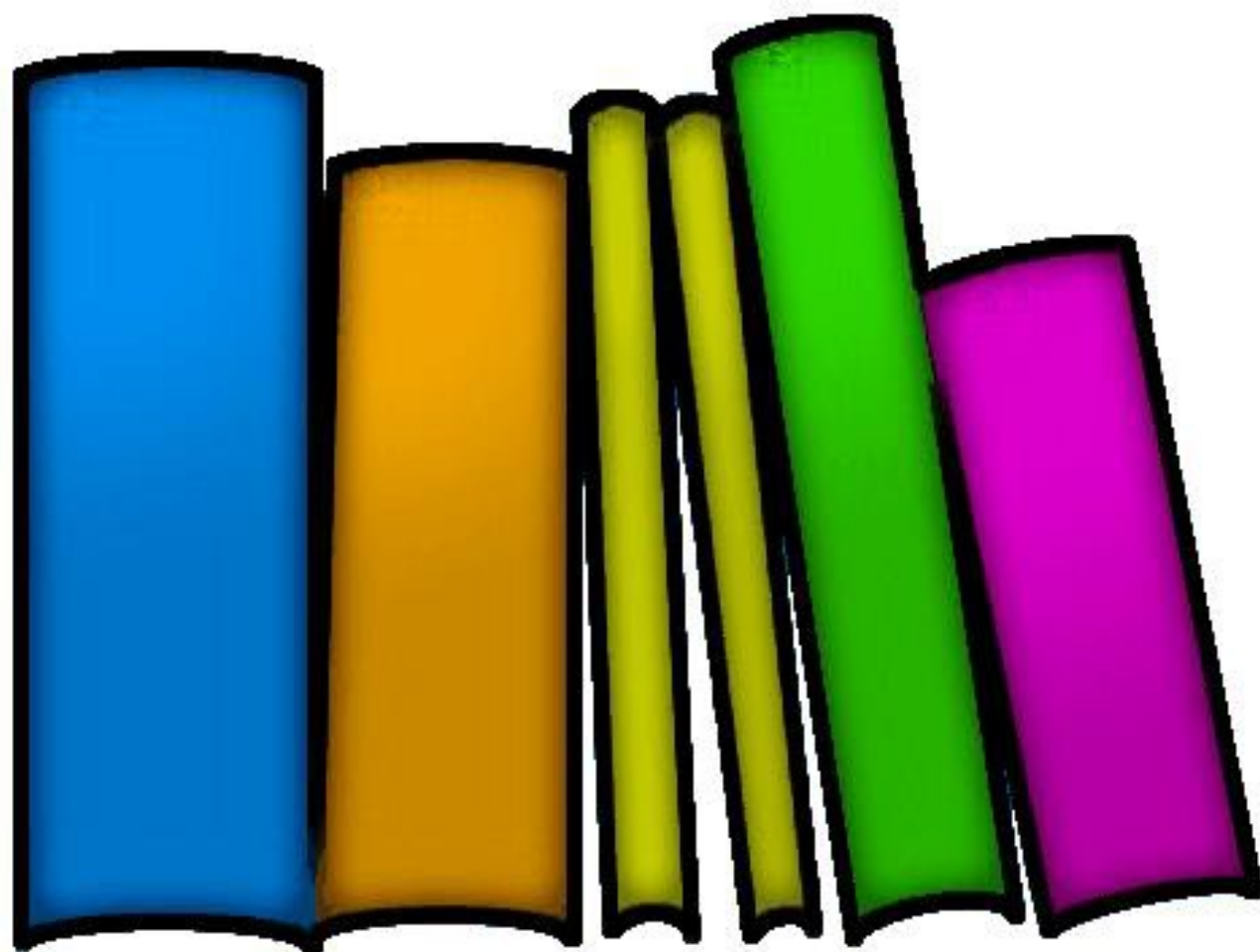


RYCERZ ŚWIATŁOŚCI

Henryk Wiatrowski



[calibre 0.6.53]

Henryk Wiatrowski

RYCERZ ŚWIATŁOŚCI

Prolog

Ujęli ją w chacie na bagnach. W bladym świetle poranka twarzy napastników były zimne, wręcz odpychające. Gęsta mgła kłębiła się nad uroczyskiem, opływała półwysep mlecznym wirem i wznosiła się ku niebu ścianą tłumiącą wszelki głos.

Ale oni milczeli i milcząc rozniecili ogień. Potem rzucali płonącymi głowniami. Z goryczą patrzyła, jak płomienie pożerają drewniane ściany i szarą strzechę. Wraz z chatą dopalały się wspomnienia. Cały ład i chronologia pamięci zostały zburzone. Od wewnątrz stawała się martwa. Jej myśli tężały, jak tężeje ciepły wosk wylany na lodowatą wodę. Poddano ją próbie ostatecznej, odarto z wszelkiej nadziei, pozbawiono mizernih resztek celu istnienia w tym świecie.

Nie stawiała oporu. Związali jej ręce, a na szyję założyli szorstki powróż. Było ich pięciu. Wsiedli na konie i powlekli ją do miasta. Nie skarżyła się, choć powróż odzierał skórę szyi, a ostre kamienie raniły stopy.

U bram dołączyła silniejsza eskorta. Tutaj też uwolnili ją od hańbiącej pętli. Przedwiosenny ziąb przenikał ciało. Szła wyprostowana, z dumnie uniesioną głową, a wiatr rozwiewał długie włosy upodabniając je do czarnych skrzydeł.

Była tak piękna, że w sercach młodych chłopców rodziła się nieokreślona trwoga i ze współczuciem odprowadzali ją oczyma. Tylko niektórzy zegnali się znakiem krzyża i pluli po trzykroć przez lewe ramię.

Na jej widok w oczach dozorczy lochu zapłonęły błyski zwierzęcego pożądania. Gdyby nie lęk przed czarami, byłby się na nią rzucił.

Ten grubianin o twarzy rzezimieszka na znak dowódcy straży ujął w garść jej lśniące włosy i uciął jednym ruchem noża. A potem dokładnie ogolił głowę.

Chcieli zniszczyć piękno - z zawiści, ze strachu, ze zwykłej głupoty. Stanowili część szarej masy i rozumowali jak ta masa. Jakaż była ich wściekłość, gdy ujrzeli, że zmianie uległ tylko wizerunek. Piękno nie zniknęło. Przeciwnie, zdawało się szydzić z nich swą nadludzką, tryumfalną siłą.

To ich rozsierdziło do reszty. Zmienili się w bestie, w których nie ma ani krzty współczucia. Gdyby tylko mogli, rozdarliby ją na strzępy. Jednak lękali się kary. Dlatego, z całym okrucieństwem bezmyślnych żołdaków, wrzucili ją do wielkiej beczki, aby nie miała kontaktu z ziemią. Ziemia dawała Moc. Jeszcze splunęli w jej kierunku i wyszli zatraskując ciężkie żelazne drzwi.

Zapadła ciemność. Przemoczony i wszechobecny smród zgnilizny atakował nozdrza. Uważnie nasłuchiwała cichnących kroków. Wreszcie odetchnęła głęboko i zamknęła oczy. W ciszy słyszała strwożone bicie własnego serca. Pod powiekami, jakby spotęgowane bólem, rodziły się obrazy chwil minionych.

Znów widziała strojnego pana, który zabłąkał się wśród bagien i przyszedł do chaty prosić o

strawę oraz nocleg. Nakarmiła go i ułożyła w swoim łóżku. Budził w niej litość. Ale raniem, kiedy niepewność, zmęczenie i strach w nim wygasły, chciał sięgnąć po nią jak po swoją własność. Wyrwała się z jego objęć i uciekła. Kluczyła niczym zwierzę, które pragnie zgubić pogoń. Przemykała tylko sobie znanymi przejściami, by wreszcie ukryć się wśród zdradliwych trzęsawisk. Była poraniona i krwawiła. Jej półnagie, oblepione błotem ciało przenikał chłód. Z bólu aż zaciskała zęby. Ale nie to było powodem najgorszej udręki. Zadano jej stokroć gorszą ranę - uświadomiono, że na tym świecie za dobro płaci się monetą zła, a wdzięczność jest pojęciem pustym. Tego się nie zapomina.

Kiedy mężczyzna dał za wygraną i odjechał, zrozumiała, że przeznaczenie przybrało jego postać. Wdarł się na drogę jej życia i, tak czy inaczej, jego los musiał się dopełnić.

Zwabiła go czarami. Klęcząc przy ognisku, które dymiło wonią kadzideł, i kołysząc się sztywno jak w transie - wypowiadała dziwne i tajemnicze słowa. Były to słowa wzięte wprost z odległej otchłani czasu i przestrzeni. Ściągały nad bagna i okolice nieznane siły, siły tak obce i przerażające, że wszystko milkło w trwodze. Wezwaniu tych słów nie mógł się oprzeć żaden żywy człowiek. Tym bardziej ten, z którym związało ją przeznaczenie.

Przybył więc bezwolny i bezbronny do jej chaty, a ona omotała go, omamiła. Szeptając palące wyznania, przywoływała do siebie, kusiała, by wymykać się w ostatniej chwili, gdy jego ręce miały już otoczyć smagłe ciało. Przez nie kończące się dni żył jak w amoku, trawiony gorączką własnej żądz. Czasami wrywał się, żeby uciec. Ale nie było dlań ratunku. Wracał po chwili - bezsilny i zrezygnowany. Wszystko razem: obce siły, niezrozumiały powab dzikiego zakątka i kobiecy urok jeszcze bardziej wzmagały jego pożądanie. Z dnia na dzień pograżał się w szaleństwie. Aż którejś nocy, dusznej od wyziewów bagiennych, milczącej w bezruchu i śmiertelnej od oparów ziół - otworzyła się przed nim naga. Dysząc jak zwierzę, bliski najstraszliwszej rozpaczki, odebrał jej dziewictwo. Wraz z dziewictwem zabił w niej Moc. A raniem, nieprzytomny, odszedł w kierunku topieli i już nigdy nie powrócił do świata ludzi.

Była brzemienna. Przeżywała swoje ostatnie szczęście, jakie los jej przeznaczył: oczekiwanie, aż rozwinie się w niej owoc nowego życia. A gdy powiła chłopca, odczytała w brzydkiej, pomarszczonej od wód płodowych twarzy, że jej stracona Moc drzemie w tej bezradnej istocie. Odtąd, uśpiona, miała przenosić się z potomka na potomka, by obudzić się w pięćdziesiątym pokoleniu.

A ona... Była już tylko zwykłą kobietą i kochała małego, ruchliwego człowieczka. Nie czuła doń żalu o to, że zrodził się z jej klęski. On jeden jej pozostał na tym świecie. Kochała go tym bardziej, im lepiej rozumiała, że również z niego musi zrezygnować. Znała swoją przyszłość i niczego już nie potrafiła zmienić.

Pewnej burzliwej nocy zakradła się do jednego z dworów i na schodach złożyła białe zawiniątko. Ostatni raz ucałowała uśpione powieki, na drobnej szyi zawiesiła rzemyk z nanizanym nań pierścieniem i uciekła, z trudem tłumiąc w sobie szloch. Od tamtej pory wiedziała, że również jej los wypełnił się do końca. Jakże więc miała bać się czegokolwiek...

Na wszelkie pytania odpowiadała milczeniem. Nie miało to żadnego wpływu na bieg spraw,

tak jak nie miałyby, gdyby cokolwiek mówiła. Wyrok został wydany, zanim jeszcze rozpoczął się proces. Bali się jej i lęk ten wyzwalał w nich okrucieństwo. Chcieli widzieć, że cierpi, bo tylko to mogło uspokoić ich tchórzliwe dusze. Bezwzględnie wprowadzali w życie wszystkie punkty procedury sądowej.

Poddali ją próbie pławienia. Prawą rękę związali z lewą nogą, lewą rękę z prawą nogą i tak unieruchomioną spuścili na linie do rzeki. Nie poszła na dno.

Przez następne dni stosowali dalsze tortury: rozciąganie stawów, palenie boków, lanie płonącej siarki na plecy, buty hiszpańskie. Traciła przytomność, jednak nie wydobyli z niej ani słowa. Trybunał ustalił: była czarownicą.

W gorące popołudnie wywlekli ją na rynek, odarli z szat i zakuli w dyby na pośmiewisko gawiedzi. Wiosenne słońce jątrzyło otwarte, ropiejące rany. Zakapturzeni mnisi modlili się o zbawienie jej duszy. A ona popatrzyła na niebo i na ziemię, i na rozwydrzony tłum, co nie mógł się doczekać końca widowiska. W końcu jej wzrok zatrzymał się na krzyżu, który jeden z mnichów dzierżył w wysoko uniesionej dłoni. Zbolałe oblicze Chrystusa wzbudziło w niej odruch zrozumienia, Czarne oczy zapłonęły smutkiem. Pomyślała, że cierpienie upodabnia ludzi do siebie. Tak jak i nienawiść...

Wreszcie kat uwolnił ją od drewnianego jarzma, zaciągnął na stos i przywiązał do sterczącego pośrodku pala. Nie czuła lęku ni rozpaczy. Zbliżał się kres jej upokorzeń. Natomiast tłum zakołysał się i zawył z uciechy. Ale następny okrzyk, jaki wydobył się z wielu gardeł, był wrzaskiem trwogi. Niebo gwałtownie zasnuły chmury i zrobiło się tak ciemno, jakby nagle zapadł zmierzch. Tłum znów zafalował, a potem plac wypełniła cisza. Gdy oprawcy z pochodniami zbliżyli się do stosu, chmury rozdarły się i lunęła z nich istna powódź. W ciasnych zaułkach miasta zawył wichur. Egzekucja okazała się niemożliwa. Rynek gwałtownie opustoszał. Przerażeni gapie rozbiegli się do swoich domostw. We wszystkim widzieli sprawkę szatana i woleli być jak najdalej od miejsca kaźni. Tylko nieliczni, najodważniejsi, schronili się do pobliskich bram, by stamtąd obserwować rozwój wydarzeń.

Gęste chmury zdawały się opadać coraz niżej. Kat i jego pomocnicy stali z wygaszonymi pochodniami i bezradnie rozglądali się wokół siebie, najwyraźniej oczekując nowych rozkazów. Mnisi nasilili swe modły. Tylko strażnicy pozostali nieruchomi niczym posągi z kamienia. Ale i oni się rozpierzchli, gdy ciemność przeorały błyskawice. Od grzmotów zadrżały stare mury. Zakonnicy wzniesli ręce. Wobec rozpętanego żywiołu wydawali się śmiesznie mali i bezradni.

Z chmur spłynęła szeroka struga ognia. Z ogłuszającym hukiem uderzyła w sterczący pal i roztrzaskała go na drzazgi. Mnisi padli w błoto i strachliwie okrywali rękoma zakapturzone głowy. Przywiązana do pala kobieta znikła.

Nawałnica tak jak nagle wezbrała, równie nagle zgasła. Wichur ucichł, deszcz ustał i znów wyjrzało słońce. Tylko świadkowie wciąż sterczeli jak osłupiali. Dzień 13 kwietnia Anno Domini 1685 pozostał do zachodu słoneczny i bezchmurny, tak jak i wiele dni następnych. Jedynie wieczorem widziano mnóstwo krążących nad miastem kruków...

- Cholera! - wymamrotał zziębnięty Art. - Zdycham ze zmęczenia. Poczekaj! - Sapiąc wygramolił się z szybu tunelu inspekcyjnego. Kseon nadal wisiał ucepiony drabinki. Ostre światło latarek w ich kaskach rzucało długie smugi, które miały się po betonowej studni w takt poruszeń głowami. Art uklęknął na obrzeżu szybu i zaczerpnął kilka głębokich oddechów. Jego umorusana twarz nie wyrażała niczego poza znużeniem. Była wyprana z wszelkich uczuć.

- A nie mówiłem, żebyś nie laźł do bocznego chodnika? - zrzędził. - Tam wszystko trzyma się na słowo honoru. I tak miałeś szczęście, że cię nie przysypało.

- Zamknij się! - wysyczał Kseon. - Zamiast mleć jęzorem, pomóż mi wyleźć z tej cholernej dziury. Jeszcze trochę, a sfrunę na dół. Wtedy dadzą ci do pomocy całkiem zielonego osła i będziesz go musiał niańczyć przez pół roku, zanim połapie się w tej piekielnej robocie.

- Sam jesteś osioł, który nie umie uszanować własnego tyłka. - Art uchwycił się lewą ręką metalowej klamry, a prawą wyciągnął w kierunku Kseona. Nogami zaparty o kanciasty filar, zanurzył się w tunelu nieomal do połowy. Ale i tego było za mało. Kseon musiał się wspiać o dwa szczeble wyżej. Zrobił to klnąc bezustannie. Jego wykrzywiona z wysiłku twarz stała się podobna do maski, jaką ongiś straszono małe dzieci.

Wreszcie Art zdołał uchwycić wyciągniętą dłoń. Aż do bólu napinając mięśnie, wywindował Kseona do góry.

- Utuczylesz się jak bydlę na darniowym wikcie - wycharczał, kiedy Kseon już leżał na podłodze i tylko jego nogi zwisały w czeluść szybu. - No, jeszcze trochę i będzie po krzyku. - Stał nad Kseonem, chwycił go pod ramiona i odciągnął daleko od otworu. Potem przesunął dźwignię i żelazna kłapa nakryła wjazd do tunelu. Kseon, pomagając sobie rękami, przetoczył się na wznak. Teraz leżał spokojnie i ze świstem łapał powietrze. Art zapalił papierosa.

Zapach dymu najwyraźniej drażnił Kseona. Kilka razy pociągnął nosem.

- A to drań - wymamrotał. - Cholerny, samolubny drań.

Art wzruszył ramionami.

- Biedaczek - zachichotał. A potem włożył mu do ust papierosa i odczekał, aż kilka razy się zaciągnie. Kseon robił to tak zachłannie, że w końcu się zakrztusił. Wtedy Art odebrał niedopałek i zادةptał opancerzonym butem. Jego twarz znowu niczego nie wyrażała.

- Człowieku, ale mi smakowało - wydyszał Kseon, kiedy przestał kaszleć.

- Gówniana robota - oznajmił Art. - Idiotyczne nadstawianie dupy - dodał i aż sapnął ze złości. A potem spojrzał na Kseona: - Zaciągnę cię do szatni. Tam jest lepsze oświetlenie. Obejrzymy twoje nogi. Zanim dotrą ci cholerni sanitariusze, człowiek mógłby dziesięć razy wyciągnąć kopyta. - Splunął śliną, która była aż szara i gęsta od pyłu skalnego.

Kseon zamknął oczy. Byłby najbardziej szczęśliwy, gdyby pozostawiono go w spokoju; właśnie tutaj, w miejscu, gdzie leżał.

- Psiakrew - warknął Art - na spanie będziesz miał czas gdzie indziej.

Kseon leniwie rozchylił powieki. Na tyle otepiał od bólu i wysiłku, że było mu wszystko jedno.

- Wypchaj się - mruknął. A potem dodał: - Myślę sobie, że byłoby lepiej, gdyby mnie zasypało. Miałbym już wszystko z głowy. Kiedy człowiek wyobrazi sobie te siedem lat, które mu jeszcze zostały, flaki skręcają się z wściekłości.

Art parsknął wzgardliwie.

- Jesteś twardy koń. Wytrzymasz dwa razy tyle.

- No właśnie, wytrzymam - wściekł się nagle Kseon. - Znalazł się filozof. Gdyby mi zostało tylko pięć lat, też byłbym cwaniak.

Art skrzywił się z niesmakiem. Pewnych rzeczy na Przeklętej się nie wypomina.

- Ano - odrzekł - zanim odharowałem te pięć lat, najpierw był jeden rok, potem dwa, a później następne lata. Nikt mi ich nie podarował. Przynajmniej wszyscy mamy równe szansę.

- Gównu nie szansę! - zapiał Kseon. A potem nagle spuścił z tonu: - Tu nie ma niczego poza zdychaniem z dnia na dzień.

Art nie podjął tematu. Znów chwycił rannego pod ramiona i, nie zważając na krzyki protestu, pociągnął skąpo oświetlonym korytarzem. Krew nie przestawała cieknąć z ran. Buty Kseona rozmazywały ją po podłodze.

W szatni wciągnął go na szeroką ławę z plastiku. Z kieszeni wyjął nóż, z którym się nigdy nie rozstawał. Otrzymał go od swojego poprzednika w dniu, kiedy tamten pakował się do odlotu. Nóż był sprężynowy i stanowił doskonałą broń. Za sam fakt jej posiadania groziła kara, jednak Art niewiele się tym przejmował. Na Przeklętej było wielu takich, co mieli ów zakaz gdzieś.

Poprzedni właściciel noża wpuścił go Artowi do kieszeni i powiedział: „Niech ci przyniesie szczęście!” Nazywał się Carlos Domingo i był piekielnie twardym Latynosem. Zdołał przetrzymać całe dziesięć lat na Przeklętej.

Kiedy zostali sam na sam, powiedział szeptem, że tam, na wolności, kupi sobie coś lepszego. I jeszcze oznajmił, że przeżył to piekło tylko dlatego, iż dzień po dniu obmyślał sobie zemstę na ludziach, którzy go tutaj wpakowali. Resztę życia chciał poświęcić na to, żeby odnaleźć sukinsyna, który podsunął mu kontrakt do podpisu, a potem tych, którzy temu facetowi wydawali rozkazy.

Pomimo że Carlos wyglądał na człowieka zdolnego do wielu rzeczy, Artowi trudno było uwierzyć w to ostatnie. Szefowie Kompanii do Eksploracji Martwych Planet mieli na pewno

doborową obstawę. A poza tym nikt nie widział ich na oczy, przynajmniej nikt z przeciętnych, szarych ludzi. Jednak żegnając się z nim, mimo że nie wierzył w realizację tych planów, życzył mu powodzenia. Zrobił to co najmniej z jednego powodu - przypadek Carlosa Domingo dodał mu otuchy i pozwolił uwierzyć, że i z Przekłętej można się wyrwać...

Ostrożnie nacisnął i rozpruł nogawki kombinezonu Kseona. Były już całe przesiąknięte krwią i schnąc sztywniały na skorupę. Skrzywił się jak od bólu zęba, widząc uda poszarpane do żywego mięsa.

- I jak tam? - spytał Kseon, który nie miał odwagi, aby unieść głowę i zobaczyć samemu.

Art lekceważąco wzruszył ramionami.

- Zrośnie się - wymamrotał. - Będziesz miał parę ładnych blizn. Akurat tyle, żeby robić wrażenie na dziwkach. Dziwki lubią mocne wrażenia. Musisz jeszcze do tego dośpiewać jakąś bohaterską historyjkę. Bohaterskie historyjki również robią dobre wrażenie.

Widział, że twarz Kseona zbladła. Dało się to nawet zauważyć pod warstwą brudu, którym była pokryta. Art się ową bladością specjalnie nie zdziwił. Już od dawna znał awersję Kseona do widoku krwi.

Poczłapał do umywalki, gdzie gruntownie umył ręce i wytarł je do sucha. Potem sięgnął do apteczki po środki dezynfekcyjne i opatrunki. Złożył to wszystko na małym stoliku i rozdarł paczkę sterylnej gazy. Skropił ją obficie żółtawym płynem i począł ostrożnie przemywać rany. Miał przeświadczenie, że robi to delikatnie, ale Kseon był odmiennego zdania. Wyprężył się i zaczął syczeć:

- Masz łapy jaskiniowca! Uważaj! Prawdziwy rzeźnik! Chryste Pa... Aj, aj! O Jezu...

A potem osłabł i nie miał siły krzyżeć ani też miotać przekleństw, których w innej sytuacji nigdy mu nie brakowało. Art dokonał pobieżnej dezynfekcji i podłożył wielkie płaty gazy pod nogi Kseona. Identycznymi płachtami okrył je z wierzchu. Bandażowanie nóg należało do obowiązków lekarza i sanitariuszy. Nie miał zamiaru ich wyręczać. Zresztą, oni i tak pozrywaliby opatrunki, żeby zobaczyć rany.

Kiedy skończył, odsapnął z ulgą. Przypalił dwa papierosy i jednego z nich włożył do ust Kseona. Kseon zaciągnął się głęboko i z błogą miną smakował aromat dymu.

Art zbliżył się do wielkiego bulaja. Gęsty opar za oknem stacji ścielił się żółtym całunem. Wydawał się lepki jak śnieg, który przylega do pancernych szyb. W tej upiornie żółtej mgle, nawet z odległości kilkunastu centymetrów nie można było dojrzeć własnej ręki. Przekonał się o tym zaraz po przybyciu na Przekłętą. Wtedy wszystko jeszcze miało dla niego interesujący blichtr nowości. Teraz, po pięciu latach, było czymś odrażającym, aż do poczucia przesyty. Czuł się potwornie znużony. Przetarł dłonią czoło. Było aż lepkie od kurzu i potu.

- Gdyby człowiek miał więcej oleju w głowie - odezwał się Kseon - nigdy by nie dał się

nabrać na to draństwo.

Art, zdziwiony, odwrócił się w jego kierunku. Ale nic nie powiedział.

- Osiem lat temu - kontynuował Kseon - byłem gówniarzem. Cholernie głupim szczeniakiem, który ma trochę nierówno pod sufitem. Imponowali mi faceci, co podjeżdżali pod bar lśniącymi samochodami i szastali forszą na lewo i na prawo. To jest życie! - myślałem. Dziwki były dla nich na jedno skiniecie palcem. - Urwał i zastanowił się głęboko.

- Ale przecież - podjął po chwili - nie ma w tym nic złego, że człowiek chce się wyzwolić od szarości, chce zabłysnąć, chce czymś się wybić z tłumu takich samych przeciętniaków. Nie można być stale tłem. To zabija. Któregoś dnia odkrywasz, że przestałeś być rozpoznawalny, że nie jesteś nawet oddzielną cząstką, a tylko przedłużeniem zlepionej w całość masy. I wtedy zaczynasz umierać od wewnątrz. Dni mijają, jeden podobny do drugiego, uciekają gdzieś w nudzie i wstrętnej obojętności. Z dni robią się miesiące, z miesięcy lata. Aż w końcu nie masz nawet ochoty wracać do mieszkania, bo wszystko jest w nim takie same. Te same nudne programy w holowizji, ta sama pustka kątów i brudne ściany, których nie masz ochoty odnowić. Dochodzi do tego, że resztę dnia spędzasz w barze, pośród takich samych jak ty, tak samo znudzonych i przegranych. Kiedy już odpowiednio znieczulisz się alkoholem, wracasz do swojej nory, rzucasz się w ubraniu na łóżko i śpisz do rana, żeby nazajutrz zwlec się z potwornym kacem i powtórzyć wszystko z dnia wczorajszego: praca - bar - mieszkanie. - Ze złością odrzucił niedopałek. - Ci cwaniacy z Kompanii wiedzą o tym doskonale. Kiedy mi tamten gnojek zaśpiewał, ile forsy dostanę tylko za to, żeby po pięciu latach zgłosić się u nich do pracy, poczułem się jak człowiek, któremu zaproponowano skrzydła. Nie interesowało mnie, co będzie później. Przed oczyma miałem całe rzędy lśniących wozów, eleganckie bary i tłumy dziwek czekających na jeden ruch ręką. Bez namysłu podpisałem papierek, który mi drań wciąż podsuwał przed oczy. Powinienem był wtedy pomyśleć, że takiej kupy forsy nikt ci nie podaruje na piękne oczy; powinienem był wtedy przewidzieć, że zarówno brak, jak i nadmiar nie mają w sobie nic dobrego. Ale nie uczyniłem tego. Dziesięć lat pracy było tak odległe, jak odległa wydaje się nam śmierć, kiedy jesteśmy przemądrzałymi smarkaczami. - Westchnął i zmarszczył czoło. - Co tu dużo gadać, te pięć lat, które miały być cudowne, przeleciały podobnie jak i poprzednie i były równie głupie, i kiedy człowiek sobie o nich pomyśli, chce mu się wyć. Rzuciałem forszą gdzie się dało i widziałem błysk podziwu w oczach tych, z których sam się wywodziłem. Jednak ani ich podziw, ani szastanie pieniędzmi, ani nawet dziwki nie dawały mi zadowolenia. Nieraz zastanawiałem się, ilu jeszcze dało się nabrać na to kłamstwo. Przeklętych planet jest do diabła, a Kompania to żarłoczne i ciągle nie nasycone zwierzę. - Znużony przerwał. Potem znów zaczął mówić tym beznamiętnym tonem człowieka przegranego: - Kiedy nadszedł wyznaczony w kontrakcie termin, pojąłem, że jak Judasz sprzedałem samego siebie. Właśnie wtedy, jak nigdy dotąd, zapragnąłem ocalić swoją wolność. Uciekłem i zacząłem się ukrywać. Ale Kompania ma świetne psy myśliwskie. Znaleźli mnie bez trudu. A gdy znaleźli, dali taki wycisk, że nie miałem siły się poruszyć. Wtedy zrozumiałem, jak mocno trzymają mnie w garści. Kiedy znużeni biciem odłożyli te swoje kable, jeden z nich złapał mnie za włosy, uniósł głowę i powiedział: „Teraz na dziesięć lat jesteś niczym. Radzę ci szczerze, wbij to sobie do tępej pały”. Tak mi powiedział, a ja byłem już pewien, że wcale nie żartuje.

Zamilkł. Art znów odwrócił się w kierunku bulaja. Teraz opar nabrał zielonkawej barwy. Pewnie chmury ustąpiły i spoza nich wyjrzała błękitna Lambda. Tyle mógł sobie wyobrazić, bo za

szybą w dalszym ciągu niczego nie było widać. To przez ową piekielną mgłę, która jak fatum wisiała każdego dnia i wydawała się wieczna w swoim trwaniu. Jedynie potężne tornada, kilka razy w roku, wchłaniały ją do pasa burz. Wtedy odsłaniał się kamienny krajobraz, jeszcze bardziej odrażający aniżeli mgła. A ona sama po paru dniach opadała, znów się ścieliła nieruchomo i zalepiała szyby stacji. Ten mroczny widok, monotonia i trudy pracy zabijały najsilniejszych. Trzydzieści procent z tych, których tu zwabiono, wracało do swoich domów. Ale i tak niewielu z nich można by uznać za normalnych.

Art miał świadomość, że przez te cztery lata zmienił się w zwierzę; zaharowane, prymitywne zwierzę, które nie jest w stanie myśleć o czymś więcej niż żarcie, picie, spanie i zaspokajanie potrzeb seksualnych. A trzeba przyznać, że Kompania postarała się, aby tych czterech rzeczy nigdy im nie zabrakło. To ją chroniło od buntu zdesperowanych niewolników. Ba, dla tych najtwardszych zorganizowano nawet kursy walk wschodnich. Co prawda Art nie miał żadnych wątpliwości, że w ten sposób przygotowują sobie narybek na inspektorów i łapaczy naiwniaków, których rozrastająca się machina nieustannie potrzebowała - ale fakt pozostaje faktem.

Art uczeszczał na owe zajęcia. Robił to dla własnej przyjemności i wcale nie miał zamiaru stać się kiedyś jednym ze sługusów Kompanii. Ćwiczenia wymagały absolutnej koncentracji i wysiłku. Kompania miała naprawdę świetnych instruktorów i trzeba było dobrze się napocić, żeby ich zadowolić. Ten wysoki stopień trudności pozwalał odsunąć na plan dalszy rozmyślanie o piekle, w które sam się wpakował, i liczenie dni, jakie mu jeszcze pozostały. A dni tych było sporo.

Stał w bezruchu, bezmyślnie zapatrzony w zielonożółty tuman. I wtedy, całkiem niespodziewanie, coś w jego wnętrzu zaskowityło. Znał doskonale odgłosy swojej duszy, tłumione z trudem, dławione w gardle, aby czasami nie wydostały się na zewnątrz. Była w nich rozpacz, beznadziejność albo bunt. Znał je tak dobrze, jak swoją twarz, którą oglądał każdego dnia podczas mycia, rano i wieczorem. Ale ten skowyt nie był podobny do żadnego z nich. Tamte zawsze dotyczyły jego życia - czy to z przeszłości, czy z teraźniejszości, czy też z lat przyszłych, które próbował sobie wyobrazić. Były wspomnieniem, nostalgią lub oczekiwaniem. Z nich zawsze rodził się sprzeciw wobec świata albo też gorzka rezygnacja. Co do tego skowytu, nie potrafił określić, skąd się brał ani czego dotyczył. Nie umiał go w żaden sposób zlokalizować. Jedno było pewne, że jest to zew, któremu nie potrafi się oprzeć - przenikający każdy nerw ciała, obezwładniający i tragiczny. Ale równocześnie, gdzieś na dnie, tliła się dziwna nadzieja, jakby obietnica dla skazanego, że kara zostanie mu odpuszczona.

- A ciebie - spytał Kseon - jak ciebie tutaj zwabili? - W ciszy, która już trwała dłuższy czas, jego słowa zabrzmiały jak cios strumienia zimnej wody. Art poruszył się gwałtownie, zupełnie nie przygotowany na tego typu pytanie. Wytrzeszczył na Kseona oczy.

- Aaa - mruknął i oprzytomniał nagle. - Nic specjalnego.

- Każdy się tu dostaje w sposób niespecjalny, że nie powiem idiotyczny - Kseon zezował w kierunku Arta. Wyglądało na to, iż nie da się pozbyć byle czym.

Art wzruszył lekceważąco ramionami.

- Zawdzięczam to pewnej kobiecie, która była na tyle ładna i cwana, żeby mnie omotać. A kiedy już to zrobiła... Stała się nienasycona, wciąż żądała nowej forsy, nowych strojów, nowych wygod. Gdy mnie już obrała do ostatniego grosza, jak dobry duszek zjawił się sukinsyn z papierkiem w rękę. Podpisałem, bo człowiek zapatrzony w babską spódniczkę jest głupszy od ameby...

Ilekcioć powracał do przeszłości, nieodmiennie dochodził do wniosku, że wszystko, co mu się zdarzyło, było nieuniknione. Zawsze go śmieszył mit twardego faceta. On sam nigdy nie potrafił być twardy. Mitem twardego faceta karmił ludzi różni pisarze książek, którzy w życiu są zazwyczaj łamagami, nierzadko gorszymi od tych, co wcale nie uważają się za supermenów. Prawdę mówiąc, każdy, kto by się dostał w delikatne rączki tej kobiety, byłby tak samo miękki i bezradny jak on. A kiedy już wpadnie się w taką niewolę, człowiek ma tylko dwa wyjścia: albo być uległym, albo też zbuntować się i popełnić jakieś szaleństwo. Tego rodzaju kobiety potrafią doprowadzić do rozpacz. Wydają się proste do rozszyfrowania, tak śmiesznie proste, że mamy wrażenie, iż trzymamy je w garści. Ale to tylko pozór. Któregoś dnia, kiedy dojdą do wniosku, że już wystarczająco nas usidliły, zaczynają się narzekania, rozkazy i stawianie warunków. I wtedy te łagodne i - wydawałoby się - mało rozumne lalecзки zmieniają się w pijawki. Wysysają z nas wszystko: radość, pieniądze, szczęście, siły witalne, marzenia, przyjaciół, nawet czas, który dotąd mieliśmy tylko dla siebie, i wspomnienia, którymi się karmiliśmy. Nie ustępują tak długo, dopóki nie poczujemy się nadzy. Tak było ze mną - stwierdził w duchu.

Gdy już wszystko jej oddał, zjawił się facet z kontraktem. Art bez szemrania złożył podpis i miał ochotę ucałować swego zbawcę. Stał się właścicielem wielkiej sterty forsy. Jak tryumfator powrócił do luksusowego mieszkania, wymachując w dłoni książeczką czekową. Wtedy to, jedyny raz, zyskał nad nią przewagę. Wielkie bogactwo ją oszołomiło. Inny na jego miejscu starałby się zachować to, co zdobył. Ale nie on. On nie był na to wystarczająco cwany. Nie był wystarczająco cwany, żeby położyć na niej ciężką rękę i odegrać się za przeszłość. On chciał jej wszystko oddać. Był w niej zakochany i nie obchodziło go nic więcej. Na kilka miesięcy wróciły ich uczucia, przynajmniej takie miał wrażenie. Była miła i chętna do łóżka jak dawniej i znów mieli ze sobą wspaniałe romansy. Wspaniałe aż do chwili, gdy na nowo zaczęła się nudzić i gdy go w końcu zostawiła. Jego następca był bardzo bogaty. Co prawda i jemu zostało jeszcze wiele forsy, ale ona uważała, że tamten jest o wiele zabawniejszy. Tak mu oznajmiła na pożegnanie. I dodała, że bardzo żałuje. Ale to i tak niczego nie mogło zmienić. Ona odeszła, a on robił wszystko to, co zazwyczaj robią porzuceni: hotele, alkohol i przygodne znajomości.

- Ja bym taką zabił - powiedział Kseon patrząc w sufit. - Jak mi Bóg miły, udusiłbym albo rozszarpał na kawałeczki. Albo oszpecił tak, żeby do końca życia wszyscy się od niej odwracali.

Art milcząco zaprzeczył głową.

- Nic byś nie zrobił. Człowiek, którego omotała kobieta, jest do niczego. Zachowuje się jak abulik. Zawsze będzie czekał, aby go przywołała do siebie. Zupełnie jakby pożarła jego Ja i stała się uosobieniem jego woli. Zgadza się nawet na rolę pajaca, aby tylko była zadowolona. Chyba że jest furriatem..

- Cholera tam - upierał się Kseon. - Wyrznąłbym jej taki kawał, że pamiętałaby do końca życia.

Art nie próbował go przekonywać. Powracał w myślach do wieczoru, kiedy spotkał ją w jednym z hoteli. Była tam ze swoim zabawnym facetem, który biegał przy niej jak piesek. Od samego patrzenia na tego nedorajdę robiło mu się niedobrze. Kiedyś przecież wyglądał tak samo. A jednak miał w sobie tę pewność, że gdyby skinęła nań ręką, natychmiast by do niej wrócił. Ale ona nie miała zamiaru tego robić. Tylko zaśmiała się szyderczo, gdy go zauważyła. Widział wyraźnie, jak jej wzrok ucieka w kierunku nowej, trzeciej już ofiary. Jego następca nie mógł tego dostrzec, był tak samo zaślepiiony, jak kiedyś on. Wtedy Art pomyślał sobie, że jedyną rzeczą, jaką jeszcze może uczynić, będzie uratowanie tamtego nedorajdy. Tyle mógł dla niego zrobić; dla niego i dla własnej satysfakcji.

Spotkał go jeszcze tego samego wieczoru w barze. Nedorajda szukał swej kobiety i nawet domyślał się, że przed kilkoma minutami wymknęła się z budynku, trzymając pod rękę nowego adoratora.

Zagadał do niego, a potem opowiedział mu wszystko, od początku do końca. Tamten najpierw nie chciał wierzyć, nawet się obraził. Ale kiedy już uwierzył, nie okazał się takim nedorajdą, na jakiego wyglądał. Zzieleniał na twarzy i zaczął zgrzytać zębami. Powiedział, że ją zabije.

Wyglądało na to, że jest w stanie coś takiego zrobić. Dlatego Art przestraszył się i chciał wszystko odwołać. Ale było już za późno. Następnego dnia dowiedział się od portiera, że nocą jakiś wariat zarznął swoją kobietę nożem i sam wyskoczył z czterdziestego piętra...

- Czuję się kiepskawo - mruknął Kseon. - Kiedy wreszcie te cholery przyjdą?! W tym samym momencie w korytarzu rozległ się hałas. Drzwi do szatni otworzyły się z impetem i do środka wkroczyli dwaj sanitariusze z noszami.

- Gdzie zdechłak? - spytał ten z przodu, z nosem aż fioletowym od nadużywania alkoholu. Cuchnęło od niego na odległość. W ich ruchach, twarzach i sposobie zachowania widać było, że uważają się za coś lepszego od zwabionego na Przekłątą bydła roboczego. Fakt, że nie byli tu na odrobku i zaliczali się do klasy ludzi uprzywilejowanych, że pełnili słono opłacaną służbę w Kompanii, że jak wszyscy funkcyjni wyposażeni byli w prerogatywy, o jakich nie mogli marzyć „kontraktowcy”. Ale w hierarchii swojej klasy stali najniżej i to rodziło w nich kompleksy. Dlatego nieuniknione stresy rekompensowali hałaśliwością i pozorną pewnością siebie. Byli niebezpieczni i temu, kto dostał się pod ich opiekę, mogli zaszkodzić. Ale i tak „kontraktowcy” gardzili nimi serdecznie, tak jak serdecznie gardzili całą resztą.

Art wyprostował się i spojrzał zaczepnie.

- Moglibyście wreszcie wytrząsnąć sobie to żelazo z dupy - warknął. - Prędzej tu człowiek wykorkuje, aniżeli doczeka się pomocy.

- Stul pysk, gówniarzu - wrzasnął sanitariusz idący z tyłu i zamierzył się do klasycznego kuksańca w splot słoneczny. Art, całkiem odruchowo, zareagował chwytem obrony. Ten rodzaj zachowania wydawał się już zakodowany w jego podświadomości. Odrzucona ręka sanitariusza plasnęła w ścianę. Ale jeszcze zanim plasnęła, Art zdążył już wyprowadzić straszliwy cios w podbrzusze i wstrzymać go w ostatniej chwili. Sanitariusz krzyknął z bólu, a potem jeszcze raz, że

strachu. Nie było żadnych wątpliwości, że stoi przed nim potencjalny komandos śmierci. Zbyt często miał okazję oglądać facetów, którzy dostali się w podobne ręce. Lekarz mógł dla nich zrobić tylko jedno - z góry wypełnić akt zgonu.

Art wyprostował się i spojrzał zimno. Na jego ustach pojawił się drwiący uśmiech. Był rozluźniony, jakby nic się nie stało. Sanitariusz otarł pot z czoła.

- Teraz pomódl się, gówniarzu, o to, żebyś nigdy nie wpadł w moje ręce. Nigdy - powtórzył zdławionym głosem. Choć nie zabrzmiało to zbyt groźnie, jednak wiadomo było, że wcale nie żartuje.

- Niedoczekanie twoje - odparł Ań. Był zły, że niepotrzebnie wywołał całe zajście. Zbyt dobrze wiedział, że wszystko odbiją sobie na Kseonie.

I tak się stało. Rozłożyli na podłodze nosze i zamiast położyć tam rannego, nieomal go rzucili. Kseona aż zatkało. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale oni porwali już nosze i ponieśli. Po drodze, niby przypadkiem, zawadzili barkiem pacjenta o występ futryny drzwi. Art wściekle zaklął pod nosem. Burzyła się w nim krew na myśl, że nic im nie może zrobić.

Pełen odrazy do samego siebie wlaź pod prysznic. Zazwyczaj lubił tam przesiadywać długo i celebrować ulgę, jaką niosły ostre uderzenia bieży wodnych. Dzisiaj darował sobie tę przyjemność. Pospiesznie się osuszył i przyodział w strój wyjściowy. Jeszcze w trakcie ubierania doszedł do wniosku, że dzisiejszy trening również sobie podaruje. Nagle nabrał chęci na alkohol i nic go od tego nie mogło odwieść.

W pomieszczeniu kontrolnym stanął przed kamerą i rzucił w jej kierunku:

- Artur Orsky, numer dziewięćdziesiąt trzy osiemdziesiąt jeden trzydzieści sześć.

- Zidentyfikowany - odrzekł głos niewidocznego stąd strażnika. I dodał: - Punkt karny za niewłaściwy stosunek do obsługi sanitarnej.

Punkt karny oznaczał dzień pobytu dłużej na planecie. A gówno! - powiedział sobie w duchu. Na zewnątrz pozostał niewzruszony. Strażnik odblokował drzwi. Art przemierzył cuchnący smarami korytarz. Mijając szereg hermetycznych komór, raz po raz spoglądał na swój pomięty kombinezon wyjściowy. Już od dawna wymagał gruntownego prania. Ale Art wiedział, że będzie tak jak zawsze i zawsze. Wypierze go dopiero wtedy, gdy złapie kolejny karny punkt za wygląd. Z drugiej jednak strony, ten niechlujny wygląd stawiał go o kilka stopni wyżej w hierarchii współ uciśnionych, jaką milcząco ustalili i zaakceptowali. Nie było to aż tak godne wzgardy, jakby na pozór wyglądało. Skoro stłumiono w nim i zabito każdą inną możliwość udowodnienia swojej niepowtarzalności, odpowiedniej ceny nabrała opinia ludzi, którzy z nim cierpieli. Pozwalało to zachować jakie takie poczucie godności.

Wielka krata w końcowej części tunelu odsunęła się ze zgrzytem. Wciąż wypełniony złością wszedł na taśmę eskalatora. Jesteś bydlę! - powtarzał w duchu - Bydlę! Bydlę! - I wściekle uderzył dłonią w udo. W tej samej chwili zorientował się, że nie jest już sam i przybrał obojętną minę. Z mijanych poziomów wynurzały się coraz to nowe grupy mężczyzn. Wszyscy wydawali się jacyś

szorstcy, kanciąści, pozbawieni nawet cienia łagodności. Padały słone dowcipy, prymitywne docinki, chamskie półsłówka. Sztuczną wesołością chcieli zamaskować swoją gorycz i zniechęcenie. Art nie brał w tym udziału. W pewnym momencie, zde gustowany, wzruszył ramionami. Po co robić z siebie błązna?

Tasma wywiodła ich na poziom mieszkalny. Idąc za przykładem wielu, zeskoczył z niej i poszedł wzdłuż szarej ściany baraków. Z niesmakiem wchłaniał zatęchłą woń powietrza, które krążyło leniwie, poruszane przez przedpotopowe wentylatory. Przez szereg wypukłych okien między nimi padał do środka mdły blask. To nędzne oświetlenie sprawiało, że ludzkie twarze wyglądały jak oblicza osób chorych na żółtaczkę.

Art skręcił do długiej szopy. Przez otwarte drzwi aż buchała para i gwar. Pomagając sobie łokciami, przedarł się do baru. Ale tutaj było jeszcze tłoczniej. Tęsknie zaczął rozglądać się za stolikiem. Widać szczęście mu dopisywało, bo wypatrzył jeden, który właśnie opuszczało czterech z nocnej zmiany. Mocno już zaprawieni alkoholem szli, aby odespać te kilka godzin przed rozpoczęciem pracy. Zaczepiały ich dziwki, proponując wątpliwej jakości towar, jakim były ich podniszczone ciała. Ale oni odpychali je rękoma i widać było po ich oczach, że obrzydzenie do świata oraz do samych siebie kształtuje się w nich gdzieś w granicach apogeum. Art po mistrzowsku wykorzystał chwilę zamieszania. Z gracją ekwilibrysty dużego formatu ominął stojące na drodze przeszkody, nieomal z wysokości siadł na krześle i rozparł się łokciami na blacie stołu. Trzej lekko wstawieni już goście, którzy mieli nie mniejszą chrapkę na wolne miejsca, spóźnili się o ułamek sekundy. Art zachichotał im prosto w zaczerwienione twarze i pozwolił jedynie zabrać dwa krzesła. Czwarte pozostawił dla siebie, tak na wszelki wypadek. Nie wszczęli z nim burdy, mimo że zachowywał się wyzywająco. W swoim podniszczonym stroju wyglądał na weterana, którym był zresztą w istocie. A poza tym mordercza, pełna zagrożeń-praca i równie mordercze treningi nie pozostały w nim bez śladu. W jego sposobie bycia kryło się coś, co nakazywało trzymać się na baczność. Tamci mieli na sobie nowiutkie kombinezony i nietrudno było rozszyfrować, że są tu od niedawna.

Art zamówił wódkę i filiżankę kawy. Znudzony kelner postawił butelkę, a potem z wyrazem obrzydzenia dodał do tego szklanekę i naczynie z naparem. Wódka cuchnęła zajzajerem, od kawy zalaływało cykorią i zbożówką. Napełnił szklanekę do połowy i dokonując cudów odwagi przełknął alkohol jednym haustem. Zapięкло go w gardle. Z trudem powstrzymał odruch wymiotny. Teraz należało tylko czekać, aż alkohol zacznie działać. Potem już nie odczuwało się jego smrodu i przez kilkanaście godzin człowiek był jakby lepszy aż do przebudzenia, gdy potworny kac zacznie się wbijać świdrem w obolały mózg.

Z namaszczeniem zapalił papierosa. I wtedy, po raz drugi, odezwało się w nim wołanie. Cały gwar wokół zdawał się opadać, zupełnie jakby cichnął i odpływał, a przed oczyma wyobraźni jawiły się projekcje tak nieprawdopodobne, iż gotów był je uznać za fantastyczny sen. Czyżby zaczęli podkładać nam narkotyki? - przemknęło mu przez głowę. Ale to nie mogło być to. Kompania potrzebowała jako tako sprawnych rąk do pracy. Degeneraci nie wchodzili w rachubę. Dochodząc do takiej konkluzji, jednocześnie odepchnął od siebie cały problem. Umysł odwracał się tam, skąd napływały wizje.

Widział gęstwiny barwnych roślin, szerokie lustra wody. majestatyczne szczyty gór,

pomarszczone wiatrem twarze oceanów i wyspy niczym sznury koralu wszystko to rozpalone światłem, jarzące się odbiciami, sączące odwieczne zapachy i jakby zanurzone w niepojętym kosmosie spokoju. Był w tych obrazach czar odległych wieków, nieodmienna uroda istnienia i mądrość, ku której wszystko powinno dążyć, aby zrozumieć sens własnego bytu.

Zanim wizje zgasły, w krótkim przeblysku myśli Art uświadomił sobie, że jest to świat, jakiego zawsze szukał, a jakiego nie potrafił dotąd nazwać ani nawet sobie wyobrazić...

Było to doznanie dziwne pod wieloma względami. Otrząsnął się i po raz drugi nappełnił szklanekę. Psiakrew! Co się dzieje? - pytam sam siebie. - Może jestem chory?

Niektórzy opowiadali o dziwnej gorączce, na jaką tutaj ludzie zapadają. Wtedy w malinie pokazują się im różne cuda, które zostają w pamięci już na trwałe, i później nie ma żadnego sposobu, żeby się od nich uwolnić. W efekcie ludzie ci stają się niezdolni dla otoczenia i większość łąduje w szpitalach dla wariatów. Przestraszył się nie na żarty. Przez moment gotów był nawet wstać, by pójść i zamówić wizytę u lekarza. Ale później się rozmyślił. Doszedł do wniosku, że przecież i tak nie mają żadnych środków na gorączkę, a poza tym... po dzisiejszych wyczynach nie miał zamiaru pchać się w ich żadne zemsty łapy.

Przechylił szklanekę i teraz wódka poszła gładko. Czuł jedynie jej rozgrzewające ciepło, co w końcu nie było aż tak niemiłe. Poza tym do stolika dosiadła się jedna z dziwek i to z tych, które akurat lubił na swój sposób. Zastanawiał się przez dłuższą chwilę, zanim przypomniał sobie imię dziewczyny. Dziwek było tu tyle, tych całkiem młodych i tych trochę starszych, i tych już mocno podniszczonych przez życie, wypranych z wszelkich uczuć, obojętnych jak automaty przeznaczone do wykonywania powtarzających się czynności - że dla zezwierzęconych mężczyzn stały się już tylko ciałami i twarzami, które pojawiają się i znikają, by potem każdy z nich mógł zachodzić w głowę, czy rzeczywiście miał je w swoim łóżku. Te ich imiona, te setki różnych imion, które w końcu zaczynają się plątać i mylić, zwłaszcza że nie odgrywają żadnej roli w osobistym dramacie każdego z nich.

A jednak jej imię pamiętał - Enea. Teraz siedziała naprzeciw i wpatrując się w jego oczy, próbowała wykrzesać uśmiech na drętwej, jakby skamieniałej od znużenia twarzy. Automatycznym gestem zaproponował papierosa.

- Nie - odrzekła. - Bierzesz sobie kogoś na dzisiejszą noc?

Milcząco zaprzeczył głową.

- To może prześpię się u ciebie? Obrzydło mi wszystko. A dobrze wiesz, jak to z nami jest: jeżeli któryś ze szpicli, co się tutaj kręca, nie będzie miał pewności, że poszłam z tobą odpracować swoje w łóżku, znowu zarobię karny punkt. Ostatnio nałapałam ich sporo. Chodzi tylko o to, żeby oszukać tych drani. Będziesz udawał, że jesteś na mnie napalony. - Znowu spojrzała w jego oczy. - A może chcę od ciebie zbyt wiele? No, powiedz.

- Nie - odparł. - Myślę, że nie.

Enea dostała się tutaj w taki sam sposób jak i reszta jej koleżanek. W odpowiednim momencie jej życia zjawił się facet z kontraktem. Ja, niżej podpisana, za taką i taką kwotę pieniędzy, płatną z góry, zgadzam się zgłosić po pięciu latach od daty wystawienia dokumentu w biurze zatrudnienia Kompanii do Eksploracji Martwych Planet w celu odpracowania ww. sumy w okresie dziesięciu lat. Równocześnie rezygnuję z wszelkich roszczeń prawnych, które mogłyby wynikać ze stosunku pracy i pobytu na odległej planecie, z zastrzeżeniem, że pracodawca zobowiązuje się zapewnić mi mieszkanie, opiekę medyczną, wyżywienie, osobiste przedmioty i rzeczy codziennego użytku oraz rozrywki i dostęp do kultury, że w przedziale rocznym będzie mi przysługiwał jeden miesiąc urlopu itd. itd...

A potem przywożono je tutaj, by odrobiły swój czas nie ziszczonych marzeń. I odrabiały - w darmowym burdelu, jakim było dla nich ogromne miasto na Przeklętej. Te, które miały więcej szczęścia i które zaliczono do ekskluzywniejszej kategorii, zostały umieszczone na stacji orbitalnej. Tam obsługiwały wysoko płatną kadrę nadzoru oraz „kontraktowców” na urloпах. Żyły w o wiele lepszych warunkach, dwa dni w tygodniu miały wolne, mogły otrzymywać prezenty i każdego miesiąca przysługiwała im premia. A ponieważ z ich usług korzystali również lekarze, nietrudno było uzyskać zwolnienie i choćby na tydzień wymigać się od pracy. Enea nie miała tego szczęścia, co w zestawieniu z jej figurą i urodą wydawało się dosyć dziwne.

- No to co - spytała znowu - przenocujesz mnie, czy nie?

Art pomyślał sobie, że powinien się zgodzić. Miała paskudną harówkę, być może jeszcze gorszą od nich, a poza tym nie było powodu, by zrażać ją do siebie. Co prawda nie miało to żadnego znaczenia w jego życiu, ale przecież każdy powinien zachować w sobie coś ludzkiego. Popatrzył w duże, ciemne oczy.

- Okay - rzekł. - Idź sobie poplotkować. Jak będę miał wychodzić, dam ci znak.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się szczerze.

- Porządny z ciebie gnojek - oznajmiła.

- Odwał się - odparł. W ich słowach nie było nic obraźliwego. Żyjąc jak bydłęta, nauczyli porozumiewać się bydłęcym językiem.

Gdy odeszła, zapatrzył się w pierścień na serdecznym palcu. Była to rodowa pamiątka, dziedziczona z pokolenia na pokolenie. Lekko dotknął oczka z opalu. Pod opuszkami palców kamień zdawał się nagrzewać i wydzielać ciepło.

Znów dotarło doń wołanie. Coś tak bolesnego, że wstrząsało świadomością i budziło nostalgię. Kiedy przymknął oczy, widział szare cienie. To mogły być cienie ludzi. Przyzywały go z wielkiej dali - poprzez otchłań pustki, zimna i ciemności. Były podobne do wspomnień z dzieciństwa, które stanowią domenę człowieczą, budzącą wzruszenie i pragnienie powrotu do chwil, których odzyskać już nie można. Poddawał się melodii tych głosów, a one przenikały go, wchłaniały i zdawały się unosić. Coraz silniej czuł, że może odpłynąć do krainy barwnych roślin, bez żalu pozostawiając miejsca, rzeczy i ludzi, do których nie czuł żadnego przywiązania, a raczej wstręt

graniczący z pogardą. Cały był odrętwiały jak umierające drzewo, z którego wyciekły wszystkie soki. Gdzieś blisko, coraz bliżej znajdowała się granica, spoza której dobiegało go wołanie. A to wołanie...

Potrząsnął głową. Szlag by to trafił! - zaklął w myślach. Potoczył błędnym wzrokiem po sali. Alkohol robił swoje, a on nagle zaczął się obawiać tych pijackich zwidów. Chcąc uchronić się od dalszych stadiów upojenia, zamówił obiad.

Zjadł go w połowie i bez smaku. Potem wypił jeszcze jedną kawę. Wszystkie te czynności nie były w stanie przerwać nieuchronnie postępującego zamroczenia, podobnie jak nie były w stanie wyrwać obsługującego stolik kelnera z transu totalnej obojętności. Ostatnią deską ratunku mogło być tylko opuszczenie speluny. Art skinął ręką na Eneę.

Wyszli przytuleni do siebie w sposób wyzywający, aby żaden ze szpicli nie miał złudzeń co do tego, że Enea jest dla Arta kobietą wszystkich jego marzeń, a Art jest mężczyzną, o którym śniła już od piątego roku życia. Na ulicy kontynuowali swoją grę i dalej tulili się do siebie, co przecież nie było aż takie złe, bo w końcu robili to bezinteresownie. Tak przynajmniej on uważał. Uważał tak nawet wtedy, gdy doszedł do wniosku, że nie jest pijany bardziej niż zwykle.

Za rogiem skręcili i zanurzyli się w mroczną i śmierdzącą męskim potem otchłan baraku. Pokój Arta był za ostatnimi drzwiami po lewej. Nie starali się w nim zachowywać cicho, wręcz przeciwnie. Trzeba było stworzyć wszelkie pozory, że wesoło baraszkuje. Enea tak chichotała, że aż sąsiad z boku zaczął walić w ścianę z dykty. Klął przy tym na czym świat stoi.

Dopiero wtedy rozebrali się i położyli na szerokiej, lecz piekielnie niewygodnej pryczy. Art wychylił się do kontaktu i otoczyła ich ciemność. Leżąc w milczeniu, czuli ciepło swoich ciał, co wcale nie budziło w nich pożądania. Byli bardzo zmęczeni ludźmi. Art miał głowę zaprzątniętą własnymi sprawami, Enea cieszyła się w duchu, że uniknęła karnego punktu, mając przy tym szansę na solidny wypoczynek. Ale przecież nie można tak leżeć w nieskończoność bez jednego słowa. Art z przyjemnością wyciągnął nogi.

- Chrapie jak diabli - oznajmił.

Zachichotała cicho.

- Wiem o tym.

- Zawsze się zastanawiałem, dlaczego wysłali cię właśnie tutaj?

Poruszyła się gniewnie.

- To przez jednego z tych gnojkwatych szpicli. Kiedy nas wlekli tu w wielkim krążowniku, czepiał się mnie bez przerwy. Był wstrętny, a we mnie tkwiło jeszcze wiele dumy. Nie poszłam z nim do łóżka. Zemścił się łajdak. Zwykły pech i brak wyobraźni z mojej strony. Żaden dramat, a raczej typowa historia.

- Aha - rzekł Art ze zrozumieniem. - Zdaje się, że nikogo z nas nie głaskali po głowie. - W

ciemności dotknął blizn na ramionach. Było ich wiele. Stanowiły pamiątkę i jakby przepustkę do nowego życia, a raczej wegetacji na Przekłętej. Tamci byli naprawdę sprawni i wytrzymali. Dawali mu wycisk tak długo, dopóki nie stracił przytomności. Potem cały tydzień leżał w szpitalu.

Przez chwilę milczała.

- Chyba powinnam ci podziękować - odezwała się wreszcie tonem, który zdradzał wyraźnie, że słowa wdzięczności z trudem przechodzą przez gardło nawykłe do przekleństw i użerania się z pijanymi amatorami kobiecych wdzięków.

Gwałtownie odwrócił głowę.

- Och, zamknij się i nie nudź. Jestem takim samym chamem jak wszyscy. Ale to widocznie jej nie przekonało. Być może sprawił nieopatrznie, że obudziły się w niej jakieś wspomnienia, coś trudnego do rozpoznania, co dotąd było w niej martwe i przysypane stertą codziennych brudów. W każdym bądź razie był zdziwiony, gdy na swoim ramieniu poczuł lekki dotyk jej dłoni.

- Wiesz - powiedziała cicho - jeśli byś chciał... Teraz jest inaczej. Zupełnie inaczej. Naprawdę nic by mi to nie zaszkodziło. Niczego by nie popsuło między nami. Więc jeśli chcesz... - przysunęła się przymilnie.

Szorstko przyglądał jej rozsypane włosy.

- Przestań wreszcie trajkotać. Leży przy tobie bardzo zmęczony frajer. Wydarli nam wszystko, nawet serca. Sam już nie wiem, czy jeszcze zostało w nas choćby trochę ciepła. Czy zawsze i za wszystko musimy płacić? Nawet wtedy, gdy dwoje ludzi chce tylko pogadać, ogrzać się bliskością swoich ciał?

Znów zamilkła i nie odzywała się bardzo długo. Tak długo, że zapragnął dowiedzieć się dlaczego. Bardzo ostrożnie dotknął jej twarzy. Pełen zdumienia odkrył, że na palcach została mu chłodna wilgoć. Skonsternowany starał się przypomnieć, kiedy ostatni raz ktoś płakał w jego obecności. Ale widocznie było to tak dawno, że nie potrafił sobie uzmysłowić kto ani kiedy. Czuł tępy ucisk w gardle. Po raz drugi szorstko przyglądał jej włosy. Zwinęła się w bezbronny kłębek i twarz wtuliła w jego piersi. Jego ramię, zanim się zdążył nad tym zastanowić, otoczyło szczupłe plecy Enei.

- Czemu nie może być tak zawsze? - spytała głosem zduszonym od wzruszenia. Właśnie, czemu? - powtórzył w myślach. Wyraźnie czuł pod dłonią, jak tłucze się jej serce.

- Menhiry - powiedział.

- Co?

- Menhiry. Długie, ustawione w wielkim okręgu kamienie. W zamierzchłych czasach ludzie zbierali się przy nich i odprawiali modły. Do wschodzącego słońca, które niosło im życie; do bogów, których nigdy nie widzieli; do księżyca czy gwiazd, które przyciągały ich tajemnicą nieznanego.

Wierzyli, że w ten sposób prześlą i odmienia swój los. Mieli w sobie wiarę w siłę wyższą, wszechwładnej instancji, która przyniesie im pomoc. My zdeponizowaliśmy bóstwa, a równocześnie z nimi zniszczyliśmy swoją wiarę. I co z tego mamy? Tylko słabość. Garstka łajdaków może nas unicestwić, zabić wewnątrz, wdeptać w błoto. Nie ma więc żadnego powodu do dumy.

Wiedział, że Enea już go nie słuca. Sądząc po oddechu, powoli zapadała w stan uśpiania.

- Jestem taka spokojna - wyszeptała sennie. - Wydaje mi się, że mogłabym wyciągnąć rękę i dotknąć swojego dzieciństwa. Wszyscy, wszyscy, których kochałam, są tak blisko. Aach, widzę wielkie okna domu...

- Śpij - odpowiedział nieomal szeptem. Choć na chwilę - dodał w duchu - zapomnij o tym wszystkim. O miejscu, dokąd cię zapędzono, o łajdakach, których musisz zaspokajać, o beznadziejności, od której nie możesz uciec. Jutro... - Przestraszony, nie zdążył dokończyć. Poczł się tak, jakby spadał w wielką przepaść. Przez moment miał wrażenie, że zaraz uderzy o jej kamieniste dno i roztrzaska się na miazgę. Ale to spadanie zmieniło się powoli w kołysanie, aż wreszcie ustało. Z czarnej jak sadza nocy wynurzyła się kobieca postać. Wisiała na łańcuchu pod wielką, mroczną kopułą. Jej rysy były ledwie widoczne i rozpoznawalne na tyle, że wydawały mu się młode. A jednak wyczuwał emanującą z nich mądrość, która zawsze jest oznaką wielu przeżytych lat.

- Nie poznajesz mnie? - spytała. A potem dodała, jakby do siebie: - Prawda, ty się dopiero budzisz. - Szeroko rozwarła płomienne oczy. - Jestem Selene. Kiedyś spłodziłam syna, a on spłodził następnego syna i jego synowie też płodzili synów. Tak było przez pięćdziesiąt pokoleń. Ty jesteś tym, na którego czekałam. Obudzono Moc drzemającą w tobie, a wszystko po to, by wypełniło się twoje przeznaczenie. Teraz już mogę spokojnie odejść. Wiem dobrze, że moja śmierć stanie się początkiem wyzwolenia naszego świata. Odnajdziesz i zniszczysz miasto Synów Ciemności, w którym wielu z nas więziono i torturowano. - Nagle zmarszczyła brwi i wpiła weń swój wzrok. - Uczynisz to, co zapisano w księdze twojego losu. Inaczej nie zaznasz spokoju do końca swojego życia - wydyszała tonem surowym, w którym brzmiał rozkaz i ostrzeżenie. A potem twarz jej złagodniała i wychudzone ciało zaczęło niknąć. Chciał krzycheć, pytać, gdyż niczego nie rozumiał. Ale ona rozpląnęła się niczym mgła i widział tylko, jak naprężone łańcuchy zaczynają się huścić, uwolnione od naciągającego je ciężaru...

Wtedy usłyszał wrzask.

Oblany potem zerwał się z pryczy i zapalił światło. Toczył wokół nieprzytomnym wzrokiem. Przez chwilę, tępo, zapatrzył się na skamieniałą z przestachu twarz Enei. Siedziała nieruchomo, podobnie jak on niczego nie rozumiejąca i zaspana. Krzyk powtórzył się i teraz wyraźnie słyszeli, że dochodzi z korytarza. Pospiesznie ubrali się i wybiegli. Na korytarzu stał Loreen, ten sam Loreen, który pracował o szych dalej od szybu Arta, również na przedpołudniowej zmianie. Teraz tłukł pięściami w ścianę z dykty, wywołując tym głuche dudnienie jakby wielkiego bębna, który przyzywa mieszkańców na wiec. Jego oczy i wykrzywiona twarz napiętnowane były znamieniem szaleństwa.

- Nie wytrzymam! - wył. - Już dłużej nie wytrzymam! Słyszycie mnie, parszywe gnojki?! Nie wytrzymam!

A potem niespodziewanie, jakby z nagłego wyczerpania, jego wycie zmieniło się w skomlenie.
- Zabierzcie mnie stąd, zabierzcie... - począł kwilić jak obity pies.

Art doskoczył doń, żeby go obezwładnić i postarać się uspokoić. Loreen wyrwał się z jego ramion. Ściągnięta twarz dyszała nienawiścią.

- Nie podchodź do mnie! - wycharczał. - Ja wiem, chciałbyś mnie znowu zamknąć w czarnej norze! Ja wszystko wiem! Ale nie uda ci się, draniu! Spróbuj! - W jego ręce błysnął nóż. - No, spróbuj! Podejdz, szpiclu! Zbliź się, gówniany żołnierzyku!

Art był pewien, że Loreen go nie rozpoznaje. A jeśli nawet rozpoznaje, to jako swojego wroga. W amoku wszyscy wydawali się czyhać na jego wolność.

- Loreen! - Art jeszcze raz spróbował przywołać go do rzeczywistości. - To ja, nie poznajesz? Pracujemy na jednej zmianie. Jestem Art, z szybu czterdzieści trzy.

Tamten zaśmiał się szyderczo. W jego chrapliwym śmiechu było tyle desperacji, że Artowi aż ciarki przebiegły po plecach.

- Nie ma Loreena - wydyszał. - Nie było takiego człowieka i nie będzie nigdy więcej. - Teraz ostrze odwrócił w swoją stronę. - Loreen odszedł. Przepadł. Wymknął się z waszych rąk, gnojki. TAM już go nie dostaniecie!

- Poczekaj! - rozpaczliwie krzyknęła Enea.

Ale tamten nie słuchał. Art chciał mu wybić nóż uderzeniem nogi, jednak Loreen był szybszy. Błyszczące ostrze zatoczyło ćwierć obrotu i z cichym, nieco dudniącym odgłosem zanurzyło się w piersi. Trafiło akurat tam, gdzie u każdego człowieka, pod osłoną żeber, bije serce. Odruch wsteczny mięśni przygiął samobójcę. Art, kiedy odzyskał równowagę, odwrócił się gwałtownie w kierunku Enei. Chciał jej oszczędzić oglądania paskudnego widoku.

- Umieram - wybełkotał za jego plecami Loreen, jakby zdumiony, że dzieje się tak naprawdę. - Umieram. Pomóżcie mi, łaj...

Art pchnął Eneę w kierunku swojego pokoju.

- Idź! Spływaj stąd! - nakazał takim głosem, że posłuchała bez sprzeciwu.

Potem powrócił do Loreena, który osuwał się po ścianie. Przelotnie spojrzął na jego wydłużoną, jakby zmarłą w wyrazie zdziwienia twarz. Widok ten był wprost nie do wytrzymania. Odczuwał go niemal jak udrękę.

- Człowieku - zasyczał i chwycił za materiał kombinezonu Loreena, żeby zamortyzować nieuchronny upadek konającego ciała. Pod palcami czuł wilgotną lepkość krwi. To już drugi raz tej doby - pomyślał.

- Umieram, bracie - powtórzył ledwie słyszalnym głosem Loreen. W jego oczach nie było już

szaleństwa, jedynie rozpaczliwy strach i nieme oczekiwanie, że ktoś odwróci ten stan rzeczy.

- Umieram...

- Musiałeś to zrobić? - wydusił Art przez zaciśnięte zęby. Wtedy Loreen uśmiechnął się nagle.

- Mu... siałem.

Z ust buchnęła krew. Jeszcze poruszył wargami, jakby chciał coś dopowiedzieć, ale żaden dźwięk nie dotarł do uszu Arta. Loreen konał. Art rozluźnił zaciśnięte palce. Puszczone ciało osunęło się bezwładnie. Poprawił przekrzywioną głowę, której oczy już mętniały. Art nie wiedział, czy tamten jeszcze odczuwa cokolwiek. Jednego był pewien, że całe pandemonium życia przestało zmarłego dotyczyć. Loreen witał swoją wolność. A on zrobił wszystko, co mógł dla niego zrobić - był przy nim. Czy ponosił jakąkolwiek winę, że nie potrafił więcej? Miał ochotę wysadzić w powietrze całą tę przeklętą budę.

Podniósł się i wyprostował. Miał wrażenie, że porusza się bardzo wolno, jakby powietrze wokół zgęstniało nagle do konsystencji roztworu soli. Kiedy drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem, sztywno odwrócił się w ich kierunku. Do środka wpadł jak bomba jeden ze szpicli.

- Co się dzieje?! - warknął w kierunku Arta.

Ten wlepił w niego pogardliwy wzrok.

- Gównu sfrunęło z sufitu - odrzekł zimno. - Nie słyszałeś?

- Mordę na kłódkę! - wysyczał szpicel i pochylił się nad zwłokami. - Kto go tak załatwił?

Art wzruszył ramionami.

- Wy - wycedził. - To wasza robota, pieprzone szczury. Możecie być dumni.

Oto dzieło na miarę waszych czasów. Sterylna kastracja człowieczeństwa. Zabieg, który kiedyś wróci czkawką. Znajdą się tacy, co wam o tym przypomną.

Tamten uniósł twarz i wyszczerzył zęby.

- Pewnie to będziesz ty - powiedział z drwiną. - Ale teraz...

Art parsknął wzgardliwie i odwrócił się, niewiele sobie robiąc z tego, że szpicel wyciąga notes i zapisuje numer, wymalowany dużymi literami na plecach jego kombinezonu. Art miał głęboko w dupie wszystkie punkty karne świata, przynajmniej w tym momencie.

Wrócił do pokoju, głośno zatraskując drzwi. Enea siedziała na pryczy. Była blada i roztrzęsiona. Jeszcze ta - pomyślał z goryczą. Nie miał siły jej pocieszać. Sam potrzebował dobrego słowa.

- Już koniec - burknął. - Kurtyna opuszczona. Akorzy się rozeszli. Ładne było widowisko. U góry będą mieli co opowiadać. A niech to szlag trafi! - Kopnął krzesło, które potoczyło się aż pod ścianę.

Potem stanął z rękami w kieszeniach i popatrzył Enei prosto w oczy. Czekał na jej wybuch, ale ona nie była skora do hysterii. Nawet nie uroniła łzy. Siedząc przygarbiona, z rękoma złożonymi jak do modlitwy, wyszeptała tylko:

- Biedny Loreen. Biedny, udręczony Loreen.

Art nie był pewien, czy wypowiadając to, nie miała na myśli ich samych. Akurat Loreen znajdował się w tej dobrej sytuacji, że już nie potrzebował współczucia. Współczucie może dotyczyć jedynie żywych.

- Też nie lepszy od reszty - rzekł szyderczo Art. - Drań jakich mało.

- Nie powinieneś tak mówić - zaprotestowała cicho.

- Właśnie że powinienem. Przypomniał o tym wszystkim, co człowiek, dzień w dzień, odpycha od siebie, tłumi i zabija w myślach, żeby czasami nie wylazło na wierzch i nie odebrało mu woli życia. Jeśli już koniecznie chciał to zrobić, nie musiał wcale na naszych oczach.

Opuściła głowę.

- Ty tak nie uważasz. Ty w gruncie rzeczy tak nie myślisz.

- Psiakrew! - wściekł się nagle. - Nie uważam tak. W gruncie rzeczy tak nie myślę. Ale przecież człowiek ma prawo wyrzucić z siebie, co go gniecie.

- Ma - odpowiedziała jeszcze ciszej. - Jednak to nie powód, żeby robić ze mnie ścianę płaczu.

Art odetchnął głęboko i zaraz po tym jakby oklapł. Jego twarz poszarzała jeszcze bardziej.

- Przepraszam - wyrzucił z siebie.

Enea wstała i nie podnosząc oczu, oznajmiła:

- Pójdę już.

Milcząco skinął jej głową. Jeszcze w przelocie, jakby gestem podziękowania czy też pocieszenia, musnęła jego twarz palcami. Nie miał zamiaru jej zatrzymywać ani odwzajemnić gestu, który niczego nie mógł zmienić.

Z korytarza już uprzątnięto zwłoki. Była to jedna z niewielu usług, które wykonywano w tempie błyskawicznym. Widok martwego ciała mógł skierować myśli przypadkowych widzów na niewłaściwe tory. Pomiędzy rozgoryczeniem a buntem - nie ma właściwie żadnej granicy. A tego drugiego Kompania sobie nie życzyła.

Art rozejrzał się po brudnych i odrapanych ścianach. Jego umysł, w którym dotąd tępił wszelką wrażliwość, teraz budził się z letargu. Art zdawał sobie sprawę z ryzyka, jakie stąd wynikało. Było to ryzyko, które mogło prowadzić do samounicestwienia. Przykład Loreena stanowił w tym względzie przestrożę. A jednak, pomimo tej świadomości, Art nie miał ochoty dalej się przeciwstawiać samemu sobie. Wiedział doskonale, że stawką w owej grze jest przetrwanie. Ale z drugiej strony, nie można przecież nieustannie płacić ceny, która przerasta nas samych. Z dwóch możliwości - przeżycia kosztem odczłowieczenia lub pozostania człowiekiem kosztem utraty szans na przeżycie - wybrał tę drugą. Dawało mu to poczucie swobody, co prawda gorzkiej, ale przecież niczego nie można mieć w pełni.

Przed oczyma mignął mu obraz zwłok Loreena i wszystko się w nim zatrzęsło. Oto znowu pomniejszono cię o cząstkę samego siebie - pomyślał. - Który to już raz? Zostałeś okaleczony o jedno ludzkie istnienie. Czy mogłeś temu zaradzić?

Tkwiał napięty, z takim wyrazem twarzy, jakby miał za chwilę rzucić się z okrzykiem na całą podłogę świata, której nic umiał ani pojąć, ani przetrwać, ani odmienić. Z wszystkich stron wyczuwał chorobę, tym groźniejszą, że nie była to choroba ciała. Jej zarazki czaiły się wszędzie, a pożywkę stanowiła nienawiść, pogarda i zubożenie, wygórowane ambicje i chciwość, pragnienie władzy i mania wielkości, bezwzględność, małoduszność i głupota. Choroba ta nazywała się: cywilizacja. Miał jej powyżej uszu.

Nie była to agonia ani omdlenie, ani też gwałtowne zapadanie w otchłań snu. Paradoksalny stan. Tracił kontakt ze światem nie tracąc świadomości. Była w nim, odbierała wszelkie wrażenia i próbowała dociec przyczyny takiego obrotu rzeczy. Na próżno. Wiedział jedynie to, że się roztopia, rozpada i zanika; że obejmuje go strumień energii, wchłania niczym potężny wir powietrza i unosi poza granice rzeczywistości. Zdawał się wsiąkać w nicość, której jedyny i realny atrybut stanowiło wołanie - teraz już wyraźne, jakby dobiegające z bliskiej odległości. To wołanie nakazywało, prosiło i obiecywało. Było wszechwładne jak prawo grawitacji, nieubłagalne niczym dążenie do śmierci, proste jak naturalna potrzeba oddychania. Poddawał się jego sile, gdyż instynktownie wyczuwał, że nie ma w nim żadnego zła. Poddawał się, bo niewiele miał do stracenia. Równocześnie odpychał od siebie wszystko, co dotąd stanowiło pozorny sens jego egzystencji. Nie był to akt ucieczki, lecz akt rozpacz. Nie szukał krainy z baśni, ale pragnął otuchy. Wołanie zdawało się nieść mu nadzieję. Również dlatego nie stawiał żadnego oporu. Przeciwnie, wychodził naprzeciw wszystkiemu, co ze sobą niosło. Odprężył się jak człowiek, który zdaje sobie sprawę, że już nic gorszego nie może go spotkać. Jeszcze wyrwało się z jego piersi westchnienie ulgi, a potem stał się niematerialnym ruchem myśli pędzących w nieznaną otchłań.

Co pewien czas oślepiały go jakieś błyski. Wtedy zdawał się więc z bólu i trwogi. A później znów otaczała go ciemność i tak leciał w nią coraz dalej i dalej, na przekór wszelkim prawom fizyki, wszelkiej logice, na przekór podstawowym zasadom pojmowania czasu i przestrzeni.

Wszystko mogło trwać mgnienie oka, ale również dobrze - całą wieczność. Do tych taktów nie przywiązywał żadnej wagi. Liczyło się tylko to, że kiedy otworzył oczy, czuł się spokojny jak nigdy, a ludzka postać, którą przybrał na powrót, nie mierzyła już swą nedorzeczną, tandetną formą. Wydawała się strojem, który łatwo zmienić.

Leżał wśród traw i łagodny podmuch wiatru muskał jego twarz. Niósł ze sobą zapach ziół i cierpką woń zwilgotniałej od rosy gleby. W oddali, na tle fioletowego nieba, piętrzyła się ściana drzew. Nierówna u szczytu, zdawała się tworzyć górzysty, jakby poszarpany horyzont. Bardziej na prawo majaczyły zarysy jakiejś budowli. Po wschodniej stronie nieboskłonu paliły się liliowe pręgi. Nie było widać gwiazd ani księżyca. Kołysane wiatrem trawy szeleściły.

Był w obcym dla siebie świecie, a jednak miał wrażenie, jakby już od dawien dawna stanowił jego nieodłączną część. Zewsząd spływało nań poczucie czegoś starego, dziwaczna mieszanina potęgi i uroku, zupełnie jakby minione wieki odmieniły swój bieg i powracały skumulowaną mądrością milionów istnień. Był sam. lecz nic odczuwał samotności. Choć bezbronny, nie miał w sobie żadnego lęku. Ziemia, na której leżał, zdawała się karmić go swoimi sokami. Chłonał je, jak roślina chłonie korzeniami cały pokarm gleby, by rozrastać się wszcz i wżwyż, potężnieć i utwierdzać swoje prawo do obszaru, który wybrała na miejsce egzystencji. Podobnie rozrastała się jego psychika, krzepła i utwierdzała w swojej nowej świadomości. Już nie czuł się małym okruczem, cząstką uzależnioną od innych i całkowicie zdaną na ich wpływy. Nic tracąc indywidualizmu, stawał się czymś więcej niż jednostką. Ze spokojem wsłuchiwał się w siebie. Teraz przelewała się tam siła - posłuszna i zdolna czynić rzeczy, które dotąd wydawały się czymś niemożliwym. Stanowiło to dziwnie poruszające odkrycie. Ów dawny człowiek, który dotąd

wypełniał całe jego jestestwo, teraz zdawał się go opuszczać, oddalać od niego, roztopiać w mało znaczącej przeszłości. A ten nowy człowiek, który się w nim budził, obserwował wszystko bez poczucia żalu, ze spokojem istoty wyższej, jakby... I zrozumiał, że przestał być zwykłym śmiertelnikiem. Czekał cierpliwie na objawienie.

A ono przyszło - głosem wypełniającym myśli, ciepłem ogrzewającym wewnątrz, siłą budzącą odrętwiałe ciało: ŚWIATŁO Z TOBĄ, SYNU! NIECHAJ SIĘ SPEŁNI TWOJE PRZEZNACZENIE!

Spojrzał na dłoń. Opal pierścienia płonął jaskrawym blaskiem. Kiedy uniósł rękę, półmrok cofnął się niczym wystraszone zwierzę. Widział teraz szeroką połąć równiny, nastroszoną suchymi żdźbłami traw. Od tyłu napływał biały zwał mgły, który we frenetycznym świetle iskrzył się i kłębił niby obsypane topniejącym śniegiem futro. Opuścił dłoń i wyszeptał:

- Kim jesteście?

MÓWIĄ DO CIEBIE STRAŻNICY CZUWANIA - odrzekł głos w jego głowie. - ZNALAZŁEŚ SIĘ W ŚWIECIE, KTÓRY JEST TWOIM JUŻ OD SAMEGO POCZĘCIA W ŁONIE MATKI. STANOWISZ JEGO SPEŁNIENIE, BO OTO PRZYBYWASZ, BY POŁOŻYĆ KRES EPOCE SNU. TO JEST CZAS TWOJEJ PRÓBY. JEDYNE CO MOGLIŚMY DLA CIEBIE ZROBIĆ, TO ZBUDZIĆ W TOBIE MOC. WSŁUCHAJ SIĘ W NIĄ I NAUCZ SIĘ JĄ ROZUMIEĆ. SAM BĘDZIESZ MUSIAŁ PRZEMIERZYĆ KRĘTE ŚCIEŻKI ZŁA. SAM BĘDZIESZ MUSIAŁ POSZUKIWAĆ W SOBIE PRAWDY. TOWARZYSZYĆ CI BĘDZIE JEDYNIENIE NASZA NADZIEJA I NASZE OCZEKIWANIE. ONE SĄ ŚWIATŁEM ŚWIATŁA ZABIJAJĄCYM WSZELKI LĘK. A TERAŻ ŻEGNAJ I PAMIĘTAJ. ŻE SPOŚRÓD WSZYSTKICH RODZAJÓW ŚMIERCI NAJGORSZYM JEST ZASKLEPIENIE SIĘ W SAMYM SOBIE. MY, DLA KTÓRYCH ŚMIERĆ FIZYCZNA JEST CZYMŚ TAK ODLEGLYM, ROZUMIEMY TO NAJLEPIEJ...

Oczko pierścienia przygasło. Jak czający się w trawach drapieźnik powracał mrok. Poczul na twarzy lepką wilgoć. To mgła dotarła do miejsca, w którym leżał. W głowie wciąż jeszcze dźwięczało echo słów i jakby rozgrzewało swoim ciepłem. Ale kiedy zgasło, poczul na gardle zimne ostrze strachu. Szarpnął się.

- Co się dzieje? - wymamrotał. - Hej, wy tam, w mojej głowie, o co, do diabła, chodzi? Skończcie z tymi kawałami i pokażcie się albo chociaż się odezwijcie!

Odpowiedzią była przytłaczająca cisza, która w żaden sposób nie mogła dodać mu odwagi. Nagle zatęsknił za cuchnącym ciepłem Przeklętej, za odrapanymi barakami, ciemną od dymu knajpą i bełkotem pijackich głosów. Czul głód, zmęczenie wywołane brakiem snu i samotność. Ale najgorsza ze wszystkiego była trwoga, która pętała nogi, waliła w głowie obuchem tętna i twardym chwytem uciskała serce. Przeklęte miejsce, skąd przybył, nagle wydało mu się rajem.

- Słuchajcie, dranie, chcę wracać tam, skąd mnie wyciągnęliście! - krzyknął. Wydawało mu się, że zabrzmiało wystarczająco donośnie, ale głos stłumiła mgła. Skulił się w trawie i począł nasłuchiwać. Nie dobiegł go żaden dźwięk, żaden odgłos, nawet najdrobniejszy szelest. Uderzył pięścią w ziemię.

- Cholerne dranie! - wychrypiał. I wtedy zrozumiał, że to, co się stało, jest nieodwracalne, przynajmniej na jakiś czas. Krzykiem i szamotaniną niewiele można było zdziałać, co najwyżej obudzić jakieś лихо i wpakować się w jeszcze gorsze tarapaty. Nawyki, jakie nabył podczas morderczych treningów, teraz brały górę. Skupił się i począł wsłuchiwać w samego siebie. Niewiele rozumiał z tego, co mu tamci powiedzieli, ale... Coś wspominali o Mocy. Kobieta ze snu również o niej mówiła. Rozłożył ramiona i wyciągnął nogi. Teraz wyraźnie to odczuwał. Skądś, jakby z ziemi, sączył się w jego ciało strumyczek siły. Rozpływał po tkankach, rozluźniał mięśnie i uspokajał napięte nerwy. Spijał go całym sobą, a równocześnie badał. Jego umysł, niczym najczulszy pelengator, starał się dotrzeć do samego źródła. Odświeżany nieustannie tym dziwnym promieniowaniem i kierowany potężniejącą wolą, zdawał się dosięgać owych granic jasności rozumienia, jakie nigdy nie są udziałem przeciętnego śmiertelnika. Coraz wyraźniej czuł, oto odsłania mu się wielka tajemnica. Była coraz bliżej i bliżej, coraz przejrzystsza i jakby na wyciągnięcie ręki. Już, już jej dosięgał...

A potem go oślepiło. Było tak, jakby przez niego przewaliła się burza, wniknęła weń i ogarnęła aż do ostatniego zakątka ciała i świadomości. Porwała go ze sobą i czuł się niby ptak, co uderzeniem skrzydeł wznosi się wysoko, kpiąc sobie z ziemskiego przyciągania i więzi ze światem rzeczy. Leciał swobodny i nieważki. Leciał wzwyż, wszecz i w głąb samego siebie. Leciał - leżąc ciągle wśród traw. Chciało mu się krzyczeć. Było to wspanialsze od narkotycznego snu, wspanialsze od wszelkich wyobraźalnych dotąd spraw i rzeczy; nie do pojęcia, a pojęte. Odczuwał w sobie Moc.

Zanim stanął na nogi, wiedział już, co dalej zrobi. Stan upojenia minął, ale dalej nie czuł w sobie ani odrobiny lęku. Mgła gdzieś odpłynęła i znów widział przed sobą ciemne szczyby ruin. Jego wzrok przyzwyczał się do półmroku na tyle, że wychwytywał teraz o wiele więcej szczegółów. Po tak ogromnej porcji wrażeń organizm domagał się kilku godzin snu.

Zachowując ostrożność, Art zbliżył się i okrążył budowle. Nic nie świadczyło o tym, żeby była zamieszkana. Ani jednego światelka, ani najcichszego głosu. Wyglądała na posępny monument odległego czasu, który porzuciło wszelkie życie, nawet najdrobniejsze stworzenia. Tak jakby wyklęto to miejsce na wieki wieków. Przemierzył spróchniały i wyszczerbiony od starości most. Wszystko wskazywało na to, że od lat nie był używany. Cały porósł zielskiem i mchem. W równie złym stanie była budowla. Wielki dziedziniec okrywały czapy krzewów, dachy pozapadały się, a w murach widniały szerokie wyrwy. Jedyne, co wydawało się niezniszczalne, to atmosfera minionych stuleci. Napierała nań ze wszystkich stron, tryumfalna i nieokiełznana w swej nieśmiertelności. Odczuwał działanie tajemnej siły, która przytłaczała umysł i ciało dziwnym, pełnym nostalgii niepokojem.

Uniósł dłoń. Opal pierścienia pałał teraz niebieskim światłem, niezbyt silnym, lecz wystarczającym, żeby lepiej widzieć. Posługując się nim jak latarką, wyruszył na poszukiwanie miejsca dogodnego do spania. Otaczająca go przestrzeń miała w sobie coś z archetypu świata tak odległego w czasie, że trudno mu było przyjąć ją jako realną. Doznawał wrażenia, że tkwi w pułapce majaków sennych. Ale nie, był w prawdziwym świecie i musiał go akceptować takim, jakim jest.

Długo kluczył pośród murów, zanim znalazł zadaszony kąt. Naznosił tam suchych gałęzi i ułożył barłóg. To prymitywne legowisko nie dawało żadnej nadziei na komfort, ale przecież prycza na Przekłętej również nie była wysłana puchem. A poza tym zmęczenie dosłownie zwałało go z nóg i było mu wszystko jedno. Rzucił się na gałęzi i natychmiast zapadł w kamienny sen.

Kiedy otworzył oczy, oczekiwał jasności dnia. Lecz naokoło wciąż panował fioletowy półmrok. Z gorzkim poczuciem rozczarowania zrozumiał, że dnia nie będzie. Czuł się, jakby go oszukano. Nad częścią widnokregu wciąż paliły się liliowe pręgi. Były jak obietnica, jak przedświt, który nie może nadejść i tylko rozpaczliwie uderza i miota się, daremnie próbując przebić złowrogą zasłonę ciemności. Owa bezradność sprawiała przygnębiające wrażenie. Art potrzęsął głową. Cała euforia i pewność siebie sprzed kilku godzin uleciały zeń bezpowrotnie. Ale też nie załamywał rąk. Skoro już się tu znalazł, powinien się dostosować do ponurego świata, a przynajmniej postarać się o to, żeby zapewnić sobie minimum bezpieczeństwa.

Obmacał kieszenie kombinezonu. Nóż, z którym się dotąd nie rozstawał, pozostał na Przekłętej, schowany pod podgłówką pryczy. Jedyнным przedmiotem, który mógł się na coś przydać, była laserowa zapalniczka do papierosów. Niewiele jak na jego potrzeby. Postanowił więc przeszukać całą budowlę.

Nie było to takie proste, jak by z początku mogło się wydawać. Osłabione mury groziły zawaleniem i na każdym kroku można się było spodziewać pułapki. Należało poruszać się ostrożnie, a to wymagało nieustannego skupienia, no i pochłaniało wiele czasu. Art nie bał się, gdyż był przyzwyczajony do ciemności i do niespodzianek, jakie niósł ze sobą mrok. Nabył tych doświadczeń wśród ciągnących się kilometrami chodników kopalni i wiedział, jak łatwo jest uniknąć zasadzek, jeśli tylko człowiek jest wystarczająco uważny i przewidujący. Unikanie naturalnych zasadzek było dlań równie proste jak chodzenie po płaskim, dobrze oświetlonym terenie. Trudność stwarzała dopiero fakt, że to miejsce było mu całkowicie obce, że rządziło się własnymi, nie znanymi Artowi prawami. Ale przecież nie miał innego wyboru.

Wchodził więc wszędzie, gdzie było to możliwe. Wspinał się na sterty gruzu, przeskakiwał ogromne dźwigary, które ukośnie sterczały na kilkanaście metrów wwyż, zaglądał do mrocznych kątów. Sądząc po rozmiarach i liczbie pomieszczeń, musiało to być spore zamczysko. Niektóre sale zachowały jeszcze swój dawny wygląd. Przemierzał długie amfilady, oglądał ściany pełne odrapanych fresków, kluczył po komnatach wypełnionych tak zbutwiałymi meblami, że ich przeznaczenia trudno się było domyślić. Ale w żadnym z tych miejsc nie natrafił na przedmiot, który mógłby mu posłużyć za broń.

Pełen wewnętrznej rozterki przekroczył próg następnej sali. Wyważone i zmurszałe drzwi leżały na posadzce. Zdawały się mówić wiele o przemocy, jaka kiedyś miała tu miejsce. Art stanął obok nich i wyciągnął dłoń z błękitnie świecącym pierścieniem. Kilka kroków dalej zamajaczyła jakaś postać. Było to odkrycie tak nieoczekiwane, że aż serce podeszło mu do gardła, a na czoło wystąpił zimny pot. Zmartwiały ze strachu oczekiwał ataku. Był te moment próby, moment trwożliwych odczuć człowieka, który jest świadom swej bezbronności i całkowitej bezradności wobec sytuacji, w jakiej się znalazł - moment doznań istoty zapędzonej w pułapkę. Ale atak nie nadchodził. Art przemógł swój lęk. Z poczuciem suchości w gardle zbliżył się do zjawy. Kiedy już był wystarczająco blisko, opanował go pusty śmiech. To była tylko zbroja, całkowicie podobna do ziemskich, jakby wyjęta wprost z muzeum militariów, tyle że bardzo zaśnieżona. Klepnął otwartą dłonią w puklerz. Metal zadudnił głucho i zachrząścił na złączeniach. Bezużyteczne żelastwo. Jedyne pas z przytroczonym doń mieczem wydawały się wykonane ze szlachetnego kruszcu. Potarł dłonią jedno z wypukłych ogniw. Na palcach pozostał lepki osad kurzu. Oczyszczone ogniwo poczęło

błyszcząc. Chwycił za rękojeść miecza i pociągnął. Nie odczuł żadnego oporu. Z pochwy wysunęła się gładka, połyskująca klinga. Ostrożnie dotknął jej palcem. Była ostra jak brzytwa i kiedy machnął ręką, ze świstem cięła powietrze. Zaraz poczuł się raźniej. Schował miecz, otoczył kłanrami biodra i zapiął zatrzask.

Pas wydawał się dostosowany do jego sylwetki. Kunsztownie rzeźbiona rękojeść miecza nie dawała Artowi spokoju. Jeszcze raz obnażył błyszczącą klingę i zadał nią kilka pchnięć w wyimaginowanego przeciwnika. Umiejętności zdobyte na treningach okazały się trwałe. Miecz doskonale wyważono i w sprawnej ręce mógł stanowić groźną broń. Trochę ociągając się, wsunął go do pochwy. Niczego więcej nie mógł oczekiwać od konającej budowli. Wycofał się na dziedziniec, a stamtąd na most. Gdy tylko minął mury obronne, opał w pierścieniu zgasł. Tu dominowały już inne siły i nie miał żadnych złudzeń, że nie są to moce mu przyjazne. Wzmógł więc czujność i starał się poruszać bezszelestnie.

Stara, zarastająca chwastami ścieżka wyprowadziła go na szeroki trakt. Instynkt podpowiadał, że należy skręcić w prawo. Posłuchał wewnętrznego głosu. Idąc, trzymał się pobocza, by w każdej chwili mieć możliwość ukrycia się w przydrożnych zaroślach. Dłoń cały czas trzymał na rękojeści miecza, a mięśnie nóg miał naprężone jak do skoku. Jakieś wewnętrzne przeczucie mówiło mu o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

Był czujny na tyle, że gdy usłyszał przeciągły świst - dał nura w krzaki. Tam padł plackiem na ziemię i leżał nieruchomo. Jednostajny dźwięk narastał i teraz podobny był do uderzeń powietrza w zepsutą puszczalną organów. Z półmroku wyłonił się płaski kształt. Sunął powoli nad drogą, zatrzymywał co chwilę, jak pies węszący świeży trop, a potem ruszał dalej. Nie mógł mieć nic wspólnego z ptakiem. W jego locie brakowało tej amortyzującej miękkości, jaka charakterystyczna jest dla żywych istot. Tak sztywno poruszają się tylko sztuczne, mechaniczne twory.

Aeroślizg był coraz bliżej. Art dopiero teraz mógł ocenić jego prawdziwe rozmiary. Pojazd miał ponad dwadzieścia metrów długości i był na jakieś cztery metry szeroki. Szara obudowa była gładka jak lustro, a przy tym pozbawiona jakichkolwiek szyb, drzwi czy innych otworów. Emanowała od niej jakaś groźba, coś, co zarazem ostrzegało i paraliżowało wolę. Art przymknął oczy. Obce myśli wdarły się do jego jaźni. Było w nich tyle wstrętu i zawiści, że aż zadygotał. Instynktownie, odruchem podobnym do reakcji dzikich zwierząt na stan zagrożenia, wstrzymał oddech. Powietrza zaczerpnął dopiero wtedy, gdy płaska sylwetka oddaliła się na tyle, że zlała się z ciemnością w jednolite tło. Obca siła uwolniła jego głowę od odrażających pragnień.

Przytulił twarz do ziemi. Strumień Mocy znów przenikał jego ciało. Głód i pragnienie wydawały się tak odległe, jak sprawy i rzeczy, które kogoś nie dotyczą. Ciało i jego psychika funkcjonowały na innym, wyższym poziomie sprawności. Znów był jak w transie, i wydawało mu się, że własnymi ramionami może opasać cały glob, zakołysać nim i wytrząsnąć zeń całe zło i nedorzecznosc.

Nie liczył czasu, ale musiało upłynąć wiele minut. Stąd nabrał pewności, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Chciał się podnieść, żeby ruszyć dalej. Ale wtedy, po raz drugi, dostrzegł szarą plamę pojazdu Aeroślizg zbliżał się doń w zawrotnym tempie. Tak szybko, że Art nie miał czasu, by oddalić się od drogi i poszukać lepszej kryjówki. Ody pojazd ostro wyhamował. Art miał już

pewność, że został zdemaskowany. Trzeba było podjąć walkę, której wynik już z góry był przesądzony. Ktokolwiek lub cokolwiek go ścigało, miało nad nim techniczną przewagę. Poczł przyływ desperacji i postanowił postawić wszystko na jedną kartę. Błyskawicznie zerwał się na nogi i wyszarpnął z pochwy miecz. Chciał pozostawić sobie tę jedyną satysfakcję, że nie zginie ustępując pola, jak byle chłystek. Z uniesioną bronią czekał, aż porazi go strzał nieznanych wrogów. Ale z aeroślizgu nikt nie strzelał. Z pojazdu wysypały się szare sylwetki. Miały na sobie coś w rodzaju peleryn, spod których wyglądała zbroja tak samo szara i lśniąca jak powłoka wehikułu, którym przybyli. Spod jajowatych hełmów dobiegał głos podobny do bulgotania wody. Przeciwnicy górowali nad nim wzrostem i chyba byli tak pewni swej przewagi, że nie próbowali go unieszkodliwić z dystansu. Znów ohydne myśli poczęły dobijać się do jego głowy. Ale teraz czuł się na tyle silny, by je odepchnąć od siebie. Ano - pomyślał - zaraz się przekonacie, że nie tak łatwo można kupić moją skórę.

Wydał okrzyk i wyskoczył na drogę. Nim otrząsnęli się z pierwszego zaskoczenia, zaatakował z furją. Stojący najbliżej napastnik nie zdołał wykonać ani jednego ruchu. Rozpadł się na dwie części, przepołowiony straszliwym ciosem miecza. Drugi zdążył jedynie zasłonić głowę ramieniem, zanim osunął się przerąbany na skos. Jego hełm potoczył się po ziemi niczym pusty garnek. Ale na to Art już nie zwracał uwagi. Poruszał się z nieprawdopodobną szybkością i podobny był do huraganu, który wdarł się pomiędzy drzewa spokojnie rosnącego lasu. W zamieszaniu, jakie powstało, najłatwiej rozpoznawalna była błyskawica jego broni.

Napastnicy szybko zrozumieli, że w walce wręcz nie mają zbyt wielu szans. Zabulgotali coś do siebie i rozproszyli się niby stado przerażonych wron. Z pojazdu wyskoczyły następne sylwetki. Niosły coś ciężkiego. Zajęty pogonią Art nie miał czasu zastanawiać się, co to było. Dostrzegł jedynie, że postacie w pelerynach zaczynają działać planowo i że ich działaniem kieruje trudny do rozpoznania cel. W tym momencie pojął, że traci przewagę, jaką dał mu niespodziewany atak. Może gdyby miał więcej doświadczenia w walce, również zmieniłby taktykę, przestał uderzać z furją i rozejrzał się w sytuacji. Ale on wdał się w potyczkę z dwójką wrogów, próbujących go przebić dzidami o metalowych ostrzach. Śpiewny świst miecza oznajmił, że odcięte zostało długie drzewce, najpierw jedno, a potem drugie, i że zadane zostały ciosy. Tamci opadali powoli, jakby nagle stracili swój ciężar. Art zaczerpnął oddechu i w tej chwili zrozumiał, że popełnił błąd. Celowo odwrócono jego uwagę, aby go okrążyć. Na ucieczkę z potrzasku było już za późno. Coś opadło na jego ciało i poczęło krępować ruchy. Szarpnął się raz i drugi, jednak zyskał tylko tyle, że zaplątał się jeszcze bardziej. Spowijała go metalowa sieć. Chcąc zrobić krok, nadepnął na jej obrzeże, potknął się i upadł jak długi. Napastnicy skoczyli na niego. Zaryczał wściekle. Ich ciężar dławił mu oddech w piersiach, ale jednocześnie z ziemi, której dotykał teraz całym ciałem, poczęły napływać doń zasoby nowych sił. Umysł Arta analizował fakty z nieprawdopodobną szybkością. To chyba podświadomość podszeptała mu myśl o pierścieniu i na tym pierścieniu skupił cały wysiłek woli. W opalu, jak w soczewce, zdawała się koncentrować cała Moc. Art z trudem wyciągnął przygniecioną dłoń. W tym samym momencie z pierścienia wystrzelił oślepiający strumień energii. Jak smuga potężnego reflektora przeszył półmrok i oświetlił całą okolicę. Art dosłyszał rozpaczliwe gulgotanie, a potem nacisk na jego ciało zelżał. Przez chwilę, wyczerpany, dyszał ciężko. Potem ostrożnie wyczołgał się spod sieci. Gdy odepchnął jej kraniec od siebie, skoczył na nogi, gotów znów zaatakować. Ale nie było kogo. Napastnicy leżeli skręceni w przedśmiertnej agonii, jeden na drugim. Art, nie rezygnując z czujności, zbliżył się do stosu ciał i klepnął leżące na wierzchu płazem miecza. Uderzony nie

zareagował. Art spróbował ściągnąć mu hełm, jednak ten trzymał się sztywno, jakby był przytwierdzony na stałe. Dopiero cios miecza wywołał właściwy skutek. Art spojrzał do środka i aż wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Hełm był pusty. Pusta też okazała się zbroja. Co, u diabła?! - zaklął w duchu. Przegląd pozostałych zwłok dał identyczny rezultat. Art począł podejrzewać, że były to jakieś zmyślnie wykonane roboty. W jego mniemaniu tylko roboty mogły być pozbawione materialnego ciała. Kopnął ze złością jeden z porzuconych pancerzy. Zbroja zaszeleściła niczym spopielony papier. Ze zdziwieniem wzruszył ramionami i zbliżył się do pojazdu, który już nie wisiał w powietrzu, lecz opadł na twardą nawierzchnię drogi i także wydawał się martwy. Osłona pękała pod naciskiem dłoni. To już złom! - pomyślał.

Usiadł na trawiastym poboczu traktu i wyciągnąwszy nogi odpoczywał. Napięcie odpływało zeń niby woda, a zostawała tylko skorupa ciała, wysuszona i pusta ze zmęczenia, niezdolna do wykonania choćby jednego ruchu. Wciąż tylko nie mógł się nadziwić rozmiarom zniszczenia, jakiego dokonała Moc. I niejasno przeczuwał, że na tym nie kończą się jej możliwości.

Kiedy już odsapnął, schował miecz. Trzeba było ruszać dalej. Choć wiedział, że jego los został już zapisany w księdze Przeznaczenia, to jednak dochodził do wniosku, że może go kształtować według własnej woli, a przynajmniej modyfikować do pewnego stopnia. Nic przecież w tym świecie, jak i w każdym innym, nie mogło być jednorodne, lecz musiało posiadać wiele wariantów - zarówno przyczyn, jak i ich skutków...

Rozmyślając o tym, zapomniał o ostrożności. To był jego następny błąd. Zanim szelest od strony krzaków został odebrany i przetworzony w mózgu jako bodziec, było już za późno. Zdażył jedynie wyszarpnąć miecz z pochwy. W tym samym momencie rzucił się na niego stwór o trzech głowach. Potężne kły jednej z nich przeorały mu obojczyk i wpiły się w mięśnie piersi, Art zachwiał się i odruchowo uderzył mieczem. Zaciśnięte szczęki nie puściły i ucięty łeb zawisł uczepony piersi. Art zaryczał z bólu. Z szyi atakującego zwierzęcia buchnął strumień gęstej cieczy. Dwa pozostałe łby kołysały się jak otumanione. Art uderzył jeszcze dwukrotnie. Łby potoczyły się na ziemię. Stwór runął i począł wierzgać odnóżami.

Art czuł narastającą drętwotę w lewej ręce. Ostrzem miecza podważał zakleszczone szczęki. Po dłuższej szarpaninie puściły. Odrzucił wstrętny, aż lepki od posoki łeb. Z głębokich ran buchnęła krew. Art zatoczył się jak pijany. Wreszcie zdołał oderwać jeden z rękawów kombinezonu i złożony w kilka warstw, docisnął do rozdartego ciała. Był to zbyt prowizoryczny opatrunek. Krew szybko przesiąkła przez materiał i pod palcami poczuł jej ciepłą, oślizgłą wilgoć. Wraz z krwią opuszczały go siły. Nie potrafił się już utrzymać na nogach i musiał osunąć się na kolana. Oczy poczęły mu zachodzić mgłą, jednak nie na tyle, żeby nie zauważył wynurzających się z krzaków napastników w lśniących zbrojach. Art pomyślał, że oto nadchodzi kres, i jak w każdym człowieku zrodził się w nim bunt oraz rozpaczliwe pragnienie życia. Wrzasnął i uniósł dłoń z mieczem. Tamci w milczeniu go okrążali. Ale choć mieli liczebną przewagę, to jednak żaden z nich nie potrafił zdecydować się na atak. Fakt ten dawał Artowi cień szansy.

Rozpłaszczył się na ziemi, by znowu nakarmić się jej Mocą. Ból zranionego ciała tępał, myśli znów poddawały się nakazom woli. Zgromadzona w pierścieniu energia bluznęła światłem potężnego wyładowania. Kilku napastników próbowało ucieczki. Daremnie. Oślepiający błysk dosięgnął ich wszystkich i podzielał jak strzał z najstraszliwszej broni. Padali z rozrzuconymi ramionami, jakby

blagając o zmiłowanie, którego nikt nie mógł im udzielić. W tym geście nieruchomości ich zwłoki. Ale Artowi było to obojętne. W zastraszającym tempie słabnął i wiedział, że jeśli nie znajdzie schronienia, a w nim jakiejś pomocnej duszy, jego zwycięstwo okaże się ostatnim z dokonań na tym świecie. Tracił przytomność i jedynie ciągły dopływ Mocy podtrzymywał wątlejące w nim siły. Dlatego też nie próbował wstać, a tylko czołgał się, chwytając po drodze czego popadnie. Za nim ciągnął się krwawy trop.

Z trudem przebił się przez gęstwinę krzewów. Dalej była już trawa, która miękko otulała ciało i amortyzowała każdy bolesny ruch. Nakaz tej wędrowki tkwił gdzieś poza obszarem świadomości i był tak silny, że wciąż wprawiał w ruch drętwiejące z minuty na minutę mięśnie. Art niewiele zapamiętał z tamtych chwil. Jakieś jezioro, z którego pił wodę i w którym przemywał rany. Potem trawy, bo znów się czołgał. Miał niejasne podejrzenia, że nie ustawał nawet w momentach utraty świadomości.

Gdzieś wspinał się po głazach, później po wąskiej grani, gdzie zwietrzała skała kruszyła się pod palcami, co w każdej chwili groziło upadkiem w przepaść. Piersi rozsadzał potworny ból, a z ust wydobywało się zwierzęce charczenie. Coś bełkotał chwilami, ale co - sam nie wiedział. W oczach wirowały barwne kręgi. Jeszcze zapamiętał ogromne drzwi i jakąś grootę, tak zalaną światłem, że aż oślepiało. Czyjeś dłonie pomogły mu ułożyć się na szerokim posłaniu i było tam bardzo miękko, przytulnie oraz ciepło. Chłodny dotyk na głowie łagodził żar gorączki. Jednak był tak wyczerpany, że nie potrafił nawet wykrzesać z siebie westchnienia ulgi. Wszystko mu się plątało - przeszłość z teraźniejszością, rzeczywistość z imaginacją, świat ludzi ze światem demonów. Niczego nie był pewien i niczego też nie pragnął. Bezwolnie zapadł w ciemność, która zdawała się nie mieć końca i była cicha jak śmierć.

Pierwszym bodźcem, który dotarł do budzących się zmysłów, był zapach suszonych ziół. Nie natarczywy ani duszący, ale łagodny i jakby znajomy. Zdawał się przywoływać wspomnienia. Art uśmiechnął się do siebie. Jednak wcale nie pragnął powrotu do świata. Miał wrażenie, że płynie po powierzchni wielkiej wody, która leniwie kołysze jego ciałem, a promienie słońca ciepłem osiadają na twarzy. Było mu z tym dobrze. Ale świadomość, jakby na przekór jego woli, nieubłagalnie wynurzała się z otchłani chorobliwego snu.

Poruszył głową i bezwiednie dotknął dłonią piersi. Palce wyczuły wilgoć materiału i zacisnęły się na opatrunku. Chciały go zrzucić, by umożliwić swędzącej skórze dopływ świeżego powietrza. W tej samej chwili spoczęła na nich obca dłoń. Gestem nie znoszącym sprzeciwu odsunęła jego rękę. Ostrożnie otworzył powieki. Jasne światło poraziło oczy, więc zamknął je na powrót. Przez dłuższą chwilę leżał bez ruchu, jakby obawiając się następnego oślepienia. A potem znów uchylił powieki. Kiedy światło przestało sprawiać ból, rozejrzał się wokół siebie. W pierwszej chwili pomyślał, że śni dalej. Uszczypnął się w rękę. Ból był tak realny, jak realny i niezmienny wydawał się świat na zewnątrz. Zaprzestał dalszych prób. Widać na tej planecie niespodzianki były czymś naturalnym. Odetchnął głęboko. Zaciekawionym wzrokiem obrzucił siedzącą obok postać. Wśród Ziemiaków mogłaby uchodzić za dziewczynę, ale tutaj niczego nie był pewien. Jeden szczegół rzucił mu się natychmiast w oczy: jej włosy - szare, o zielonkawym odcieniu. Nie wiadomo dlaczego, ale kojarzyły mu się z wodą. Jej twarz promieniowała spokojem, jakim promieniuje oblicze istoty, której życie nie jest ograniczone czasem.

Końcem języka zwilżył wysuszone wargi. Dziewczyna sięgnęła po kubek stojący na półce skalnej i podała mu go. Podając musiała się zbliżyć. Wtedy dostrzegł, że oczy też ma zielone, a usta ciemne kolorem dojrzałych wiśni. Pachniała wiosennym wiatrem i łąką, i czymś jeszcze, czego nazwać nie potrafił. Wziął naczynie z jej dłoni i wypił kilka łyków. Musiał się skrzywić, gdyż płyn był piekielnie gorzki. Ale ona uśmiechnęła się i jednoznacznym gestem nakazała, aby wypił do końca. Nic nie mówiąc przekonała go, że jest to najszlachetniejsza rzecz, jaką może uczynić. Wypił więc do końca i w nagrodę został obdarzony następnym uśmiechem. Z jakichś niejasnych względów wydało mu się to pokrzepiające. Odebrała od niego kubek i odstawiła na półkę. Obserwując jej ruchy miał wrażenie, że widzi nie tylko ludzką postać, ale coś więcej, jakby samą Naturę w jej skłonach drzew i trawy, w sprężystym biegu zwierząt, burzliwym bulgotaniu źródła, migotaniu światła przez szpary liści i nieposkromionej witalności, tak starej, jak stare jest życie. Musiała czytać w jego myślach, bo odwróciła twarz i odsłoniła swoje białe zęby. Jej spojrzenie zniewalało i zawstydzalo równocześnie. Tak musiały wyglądać rusałki - pomyślał.

- Zgadłeś, przybyszu - rzekła.

Zdumiał się, że tak doskonale zna jego język. Było to wprost niewiarygodne.

- Rusałki, wodnice, majki, dziwożony - mówiła dalej. - Tak nas nazywano w świecie, z którego przybyłeś. Byłyśmy tam - w lasach, na łąkach, w ogrodach, byłyśmy w rzekach i jeziorach, dopóki ludzie nie zabili w sobie wyobraźni i nie wykreślili nas z pamięci; dopóki nie zamknęli się w swej głupocie i ciasnym egoizmie, by zacząć patrzeć na wszystko poprzez soczewkę swoich brudnych pragnień. Spalili i zburzyli wspaniałe chramy, wypędzili ze swoich serc bogów magii, wojen i

płodności. Razem z nimi wyrzucili latawice, strzygi, planetników, wiły i wiele jeszcze innych duchów, co wypełniały ziemię, wodę i powietrze. Ogołocili swój glob doszczętnie, by - uwolniwszy się od wewnętrznej bojaźni - dać upust swej zachłanności, nurzać się w wiarołomstwie, rzucać w wir szaleństwa, które prowadzi donikąd. Nie pomyśleli, że to właśnie my wszyscy byliśmy ozdobą ich świata, a równocześnie stróżami porządku i piękna. Co komu zawinili bogowie, duchy czy rusałki?

- Znam opowieści o rusałkach - odrzekł szorstko. - To wy wabiłyście mężczyzn, by wciągnąć ich do topieli.

Rusałka obruszyła się gwałtownie.

- Kłamstwo. Topiły ich własne żądze. Zawsze byliśmy pięknem samym w sobie. A oni przychodzili i chcieli mieć to piękno na własność. Głupcy! Nie wiedzieli, że piękno zniewolone przestaje być tym, czym było. Ono, tak jak prawda, potrzebuje przestrzeni, ziemi i nieba, wiatru i słońca, wielkiej swobody. Broniliśmy swej wolności. Gdybyś wiedział, jak pożądanie wykrzywiało ich twarze, jak wytrzeszczali oczy, jak ślinili się i drapieżnie wyciągali ręce. Umykałyśmy w odmęty, a oni szli za nami. Sami zadawali sobie śmierć. A czy myślisz, że to innych odstraszało? Zachłanność ludzka jest jak amok. Tyle czasu byłam na Ziemi, a jednak przez te całe wieki ani jeden z mężczyzn, których spotkałam, nie spojrzał na mnie tak, jak patrzy się na kwiat, na zachód słońca czy wodę w leśnym źródle. Spoglądali zawsze jednako, jakbym już była ich rzeczą, przedmiotem, z którym mogą uczynić, co tylko zechcą. My byliśmy częścią starego świata, od którego ludzie się odwrócili, by stworzyć swój własny: świat, w którym przedmioty muszą mieć jakąś wartość, aby według tej wartości można było odmierzyć zysk dla siebie. Piękno w tym świecie jest o tyle cenne, o ile można je przeliczyć na pieniądze albo jeśli dodaje splendoru temu, kto je posiada.

Art milczał. Rusałka uśmiechnęła się smutno.

- Milczysz. A mnie naprawdę jest żal ludzi, że opętani złudą wielkości podążyli za nią na oślep.

- Jestem jednym z nich - mruknął. Z trudem przychodziło mu to wyznanie, bo przecież w przeszłości był taki sam.

Milcząco zaprzeczyła głową.

- Jest czas snu i czas życia - rzekła - czas brania i czas dawania. Twoje prawdziwe Ja dotąd spało, teraz przyszedł na nie czas życia i czas dawania. Od tej pory twoja droga będzie jasna i prosta, co (czego się pewnie domyślasz) przysporzy ci wielu cierpień. Ale bez nich nie rozumielibyśmy szczęścia. Gdy przyczołgałeś się pod wrota pieczary, twoje ciało było bliskie śmierci i myślałam, że Moc pragnie ofiary twojego życia. Ale nie. Teraz już jesteś uleczony i tylko czekać, aż cię zawoła przeznaczenie.

- Uleczony! Psiakrew! Uleczony! - skrzywił się jak od bólu zęba. - Chciałbym, żeby to dotyczyło mojej głowy. Czy myślisz, że tak łatwo wyrzucić z pamięci wszystko, co było w przeszłości? Zwłaszcza, że terazniejszość to dla mnie ciemna magia i tak naprawdę dalej nie wiem, o

co tu chodzi. - Usiadł podtrzymując dłonią opatrunek na piersiach. Napój, którym go uraczyła, rozgrzał go i dodał sił.

Uśmiechnęła się tajemniczo.

- Nie spiesz się. Jeszcze wszystkiego się dowiesz, jeszcze wszystko zrozumiesz. - I dodała zmieniając temat: - A opatrunek już możesz zdjąć.

Zmiał wilgotny muślin i wrzucił go do ognia. Dopiero teraz rozejrzał się uważnie po pomieszczeniu. To była grotta - z grubymi nawisami stalaktytów, wysoka na kilkanaście pięt, z kolistym otworem w suficie, przez który wdzierało się jaskrawe światło. W bocznych ścianach widniały otwory przejść do następnych komór.

Wstał i popatrzył na swoje piersi. Różowiły się na nich świeże blizny. Nie potrafił uwierzyć, że rany mogą się zagoić tak szybko. Jakby odpowiadając na nie wypowiedziane pytanie, rusałka podała mu blaszane pudełko.

- To maść gojąca rany. Weź, będziesz jej jeszcze potrzebował.

Schował pudełko do kieszeni. Rusałka zniknęła w jednym z łukowatych przejść. Wróciła po chwili, niosąc w wyciągniętych dłoniach jego miecz wraz z rycerskim pasem. Teraz był wyczyszczony i lśnił złotym blaskiem. Skupiona, jakby trzymała w ręku świętość, uklękła i podała mu broń. Kiedy ją wziął, pochyliła głowę. Teraz, przy świetle, mógł podziwiać misterną robotę nieznanymi rzemieślników. Na pochwie i na klamrach wyrzeźbiono różne sceny z życia wojowników. Postacie ubrane były w identyczne zbroje, jak ta, z której zdjął ów miecz. Wiedziony podświadomym nakazem, wyciągnął do połowy klingę i ucałował. Następnie zapiął pas i chwycił za ramiona klęczącą wciąż rusałkę.

- Wstań - powiedział łagodnie.

Posłusznie wstała, jednak wciąż nie podnosiła nań swoich oczu. Co znowu, do diabła? - spytał w myślach. W jego głowie zrodziło się podejrzenie, że to miecz jest powodem całej celebracji.

- Czy wiesz, co to za broń? - spytał.

Skinęła głową i wreszcie uniosła na niego wzrok.

- To Styrr - odrzekła. - Święty miecz Rycerzy Światłości. Mogą nim władać tylko wybrańcy. Gdybyś nim nie był, miecz sam by cię zabił. On zabija wszystkich, którzy odeszli od światła prawdy i sprawiedliwości. Sam wydaje wyrok na tych, którzy, nie powołani, wyciągają po niego rękę. To straszna broń, przybyszu. Nosząc ją, jesteś dla nas nietykalny; biorąc ją w posiadanie, stałeś się Rycerzem Światłości. Było dla mnie wielkim zaszczytem opiekować się tobą w chorobie. - Znów skłoniła głowę.

- Eee - mruknął - skończmy z tymi grzecznościami. Mówisz tak, jakbyś chciała ode mnie odejść.

- Uczyniłam wszystko, co do mnie należało. Teraz Ojciec Przeznaczenia chce z tobą mówić.

- Kto? - zdziwił się.

- Ojciec Przeznaczenia. - Bezradnie wzruszyła ramionami. Nie bardzo wiedziała, jak mu objaśnić coś, co dla niej było tak oczywiste, a równocześnie tak trudne do objaśnienia. - On jest nieskończonością. Był zawsze i zawsze będzie. Był tutaj, kiedy nikogo z nas nie było. Jest wszystkim, wie wszystko i wszystko widzi. Nawet Synowie Ciemności respektują jego obecność, mimo że jest mało spraw i rzeczy, które potrafią uszanować.

- Mówisz o tych w szarych zbrojach i pelerynach?

Skinęła głową, a jej zielone oczy znów wypełnił smutek.

- Boją się go - powiedział.

- To nie lęk. Nie wiem, jak to wyjaśnić... Ojciec Przeznaczenia jest ponad wszystkim, niezbędny jak czas, który płynie, jak los, który nas czeka, jak przyszłość, która musi się zdarzyć.

Niewiele mu to mówiło, ale machnął ręką.

- Prowadź!

Powiodła go do groty, którą w całości wypełniała różowa mgła. W jej opalizującej gęstwinie nie było niczego widać.

- Zanurz się w tej mgle, Rycerzu Światłości, i czekaj - pochyliła się w ukłonie, chcąc odejść.

- Jedną chwilę - chwycił ją za ramię. - Być może nie zobaczymy się nigdy. Chciałbym więc podziękować za wszystko. Jeśli będę żył, a ty będziesz potrzebowała pomocy, wezwij mnie.

Spojrzała na niego poruszona.

- To dla mnie wielkie wyróżnienie.

Rozgarnął jej długie włosy i palcami dotknął smagłego czoła.

- A to, o czym mówiłaś przedtem... Myślę, że się jednak mylisz. Zawsze są jacyś ludzie, którzy potrzebują piękna nie dla jego ceny. A teraz idź już, rusalko. Słyszę wołanie swojego przeznaczenia.

Gdy odeszła, pomyślał nie bez zdziwienia, że bardzo się zmienił w ostatnim czasie. Kiedy się nad tym zastanawiał, doszedł do wniosku, że właściwie niewiele zostało w nim z dawnego Artura. Może jeszcze kilka prymitywnych odruchów, kilka prostackich słów, skłonność do szyderstwa, nad którą łatwo było zapanować. Ale w przygniatającej części był już innym człowiekiem. Jeszcze nie miał pewności, czy powinien się z tego cieszyć. I nie ulegało wątpliwości, że nie jest to jeszcze koniec przemian.

Bez wahania wszedł w różowy opar i zastygł w bezruchu. Coś na podobieństwo wiru powietrza porwało go i uniosło. Było to tak nagłe, że aż z przestachu zamknął oczy. Kiedy je otworzył, mgła znikła bez śladu. Stał pośrodku wielkiej sali, a naprzeciw niego, na rzeźbionym tronie, siedział starzec o czterech twarzach, które patrzyły w cztery strony świata. Surowy wzrok siwych oczu był tak przenikliwy, że aż obezwładniał. Art przestąpił z nogi na nogę, po czym schylił się i klęknął na jedno kolano.

- Światło z tobą, ojcze - wypowiedział formułkę, która w sposób dlań niepojęty sama mu przyszła do głowy.

- Światło z tobą, synu - szorstko odpowiedział potężny głos, jakby pomnożony przez czworo ust, z których się wydobywał. - Wstań i zbliż się do mnie. Nie wypada, aby Rycerz Światłości klęczał. To oznaka słabości. Twoim przeznaczeniem są nieśmiertelne czyny, o których będą śpiewali wędrowni bardowie. Twoim losem jest samotna walka ze złem. Wkroczyłeś na najjaśniejszą z dróg. Światłość jest z tobą. - Starzec przyglądał jedną z czterech siwych bród.

Art zbliżył się i zatrzymał w pełnej szacunku pozie.

- Usiądź!

W milczeniu spełnił polecenie. Czuł wokół siebie coś dziwnego, coś na podobieństwo atmosfery najodleglejszych wieków - owego czasu, kiedy wszechświat stanowił jeszcze gorące skupisko materii, kiedy nie było galaktyk i gwiazd, pustki przestrzeni i wielkich mgławic, planet i ich satelitów, nie mówiąc już o życiu.

Wiele pytań kłębiło się w jego głowie, wiele niepewności. Od Ojca Przeznaczenia spodziewał się odpowiedzi i wsparcia. Czekał na to, cały aż drżał ze zniecierpliwienia. Pierścień na jego palcu płonął barwami tęczy. Napływ Mocy był tak wielki, że nieomal obezwładniał. Od twarzy starca tchnęło rozważną mądrością wszytkowiedzącego.

- Rozumiem twój niepokój - odezwał się Ojciec Przeznaczenia. - Rozumiem też twoją niecierpliwłość. Młody wiek, gorąca krew. Z czasem nauczysz się wsłuchiwać w innych i rozumieć nawet ich milczenie. Ale wiedz jedno, że chociaż przywołałem cię tutaj, by wiele spraw wyjaśnić, to przecież nie odsłonię przed tobą wszystkiego, bo wtedy życie twoje straciłoby sens.

- A twoje, ojcze? Przecież wszystko wiesz - wyrwało mu się. Starzec uśmiechnął się i znów przyglądał brodę.

- Ja nie stanowią istnienia, jestem tylko sumą wielu przeznaczeń, wielką księgą historii wszechświata - od prapoczątku aż po jego kres. W twoim rozumieniu nie ma mnie, nie istnieję jako coś odrębnego. Zmaterializowałem się tylko po to, aby nam łatwiej było rozmawiać. W tej postaci pojawiłem się w świecie, w którym żyłeś; pojawiłem się, aby dać nadzieję tym, którzy jej potrzebowali. Było mi ich żal, choć wiedziałem, że i tak zhardzieją, odwrócą się od wszystkiego, mniemając, że czas miniony jest dla nich bez znaczenia. - Starzec zamyślił się. Art starał się mu nie przerywać, choć pytania same cisnęły mu się na usta. Po chwili Ojciec Przeznaczenia spojrział na niego i uśmiechnął się wyrozumiale.

- Przybyłeś z planet światła i ciemności, gdzie noc następuje po dniu, a potem znów przychodzi dzień. Przybyłeś do świata, który zawsze był w tobie, tkwił niczym ziarno w glebie czekające odpowiedniego momentu, by zakiełkować. A kiedy tak się stało, kiedy już świat ten puścił w tobie pędy, zacząłeś za nim tęsknić, nie wiedząc jeszcze, jak on naprawdę wygląda. A i teraz nie wiesz, bo świat, który zobaczyłeś, był kiedyś całkiem inny...

IV

„Aur” w języku Vitarów znaczy to samo co „Planeta Wiecznego Dnia”. I taką była ongiś, bowiem krąży po zawitych torach wokół czterech słońc: czerwonego, żółtego, niebieskiego i fioletowego. Od zamierzchłych czasów bardowie opiewali jej przeistaczające się piękno. Sławili zmienne barwy nieba, grające odcieniami wody oceanów, metamorficzną szatę roślin, skrzące się kolorami widma obłoki i różnorako świecące, a widoczne nieraz nad horyzontem księżyce. O wielu jeszcze innych cudach śpiewali w swoich pieśniach, bo jakiś dziwny czar wiązał mieszkańców z tą najdziwniejszą spośród miliardów planet.

Życie na niej zrodziło się już wtedy, kiedy Ziemia wciąż jeszcze pogrążona była w chaosie potężnych ruchów górotwórczych, gdy katastrofalne wybuchy wulkanów rozpalały i zatruiwały przestrzeń, a w gęstej i ciemnej od pary wodnej atmosferze szalały huragany, nieustannie obrywały się chmury i jedynym źródłem światła docierającym do powierzchni były uderzenia piorunów, których moc przekraczała wszelkie wyobrażenie.

Miliony lat trwało na Aur, zanim z pojedynczych komórek powstały kolonie, a z nich coraz bardziej skomplikowane organizmy. Miliony lat wynurzało się życie z oceanów i powoli, krok po kroku, ogarniało lądy. Miliony lat trwała walka o byt w dusznych i ogromnych puszczech, zanim niektóre zwierzęta opuściły drzewa i poczęły poruszać się po ziemi w pozycji wyprostowanej. I znów miliony razy słońca przemierzyły niebo planety, zanim zrodził się rozum.

Najpierw była cywilizacja Akasów. Nikt nie wie, w którym momencie wynurzyła się z otchłani dziejów prymitywnych plemion. Nie podają też najstarsze źródła i kroniki, skąd przywędrowała, by osiedlić się nad Morzem Westchnień, wytrzebić puszcę i uprawiać żyzną glebę. Znana jest tylko historia jej rozkwitu i upadku. Akasowie czcili czterech bogów, akurat tylu, ile słońc oświetlało Aur. Dlatego każdemu przypisywano barwę, jaka charakterystyczna była dla poszczególnej gwiazdy. Onomader, bóg żółty, był rozdawcą płodności. Do niego wspólnoty modliły się o urodzaj upraw i o jak najliczniejsze potomstwo - zarówno dla siebie, jak i dla zwierząt hodowanych w domostwach. Vofionis, bóg czerwony, był stróżem porządku i czystości obyczajów. Do jego kapłanów odwoływano się w sprawach drażliwych, a wyrocznia, którą ogłaszano, była ostateczna i obowiązywała wszyskich. Tortoves, bóg fioletowy, był opiekunem zdrowia i sił witalnych. Wspólnoty zносиły do jego świątyn bogate dary, aby boża łaska nie opuszczała rodzin i ich żywego dobytku. Wreszcie Esuren, bóg niebieski, był nosicielem mądrości. Pieczy jego kapłanów powierzano wszelkie doświadczenia, jakie Akasowie zdobyli na przestrzeni wieków.

Był to lud pracowity, rozkochany w ziemi i w tym, co może ziemia zrodzić; lud nie znający wojen, zgodnie żyjący na całym obszarze, szanujący się nawzajem i uznający odrębność praw oraz obyczajów poszczególnych skupisk ludzkich.

Cywilizacja Akasów pozostawiła po sobie rozległą wiedzę rolniczą. Zabłysła jak meteor: bogactwem i pracowitością wspólnot - i jak meteor szybko zgasła. Jej dobrobyt i całkowita bezbronność zwabiły wojowniczy lud Totamarów.

Przywędrowali od strony Gór Tęczowych. Przybyli w lśniących zbrojach - karni i posepni, by objąć w posiadanie całą krainę wraz z jej dotychczasowymi włodarzami. Mieli tylko jednego boga,

któremu stawiali ołtarze w kształcie miecza. Theorr miał charakter doskonałego wojownika i władcy. Do jego kapłanów zwracali się we wszystkich sprawach, a rozstrzygnięcia uznawali za prawo.

Totamarowie brali sobie kobiety Akasów, nazywali je swoimi żonami i płodzili potomstwo. Żądali też części plonów i kazali stawiać warowne zaniki. Trzeba jednak oddać im sprawiedliwość, że starali się unikać rozlewu krwi, grabieży i morderstw. Dlatego potem nastąpiło coś, co można określić mianem asymilacji. Nowa cywilizacja wchłonęła w siebie starą. Totamarowie pozostawili po sobie w spuściźnie wiele zapisów praw rycerskich i jeszcze więcej niezgłębionych tajemnic. Ich upadek zaczął się od bezpotomnej śmierci króla Gedona. Wielkie państwo rozpadło się na księstwa, a te uległy dalszemu rozdrobieniu.

W tym samym czasie, od strony Wyżyny Uśmiechów, poczęły przybywać pierwsze grupy Deujonów. W miarę upływu lat nasiliła się ta wędrówka ludów. Nowi przybysze nie byli zbyt silnej budowy ciała; mieli smagłą cerę, jasne włosy i zielone oczy. Czcili tak ogromną liczbę bóstw, że nie sposób opisać w kilku słowach bogactwa ich panteonu. Prymat Deujonów nad innymi wynikał z ich nieprzeciętnej inteligencji. Kierując się rozwagą i mądrością zlikwidowali chaos na terytorium Totamarów i przejęli władzę w swoje ręce. Za ich panowania znacznie rozszerzył się zamieszkaný obszar i wzbogaciły się oraz rozrosły miasta. Deujonowie pozostawili w schedzie swym następcom głęboką znajomość wielu nauk. Ich plemiona wydały na świat mnóstwo znakomitych myślicieli, których nazwiska stały się nieśmiertelne. Pewnie mogliby swoim państwem władać jeszcze przez wiele wieków, gdyby nie Bofirowie...

Któregoś dnia na linii horyzontu Oceanu Jasności pojawiła się cała chmara obcych okrętów wojennych. Gdy przybiły do brzegu, a ich załogi i dowódcy przekonali się, że nikt na tej ziemi nie ma zamiaru z nimi walczyć, wody Zatoki Deszczów zapełniły się łódkami. Na ląd poczęli wychodzić czarnowłosi mężczyźni, kobiety i dzieci, których oczy miały niesłychaną barwę - błękitną. Nieśli ze sobą dziwaczne przedmioty, a ich przeznaczenia żaden z autochtonów nie potrafił się domyślić. Rozpalali wielkie ogniska i przy nich modlili się do swych bóstw, co chwilę podsypując polana narkotycznym kadzidłem, którego woń odurzała zmysły i budziła wizje innych światów. A potem, grupkami, rozchodzili się w różnym kierunku. Od tamtej chwili w królestwie Deujonów zaczęły dziać się różne dziwne rzeczy. Botirowie byli ludem, który bez reszty pogrążył się w magii i praktykach niewyjaśnialnych dla nauki. Tym zdobyli przewagę nad Deujonami i dzięki temu przejęli panowanie. A panowanie to trwało blisko trzy tysiące lat, zanim z ogromnego Półwyspu Pragnień nie dotarli na żywe ziemie Kontynentu Spokoju Igewarowie.

Dziwny to był lud bardzo - inteligentny i cichy, ale równocześnie przewrażliwiony na punkcie przyrody. Nikt chyba na świecie nie rozumiał tak jak oni systemu ekosfery - od najmniejszego źdźbła trawy aż po drzewa, zwierzęta i ludzi ją zamieszkujących. Igewarowie jako cel nadrzędny uznali przywrócenie obszarom Kontynentu Spokoju pierwotnego wyglądu sprzed wielu wieków. Ci pierwsi ekologowie wstrzymali proces degradacji środowiska i przywrócili mu dawną świetność. Oczyszczili miasta ze ścieków, wysypisk śmieci i innych źródeł zarazy. Pomnażając płodność gleby, zmniejszyli w ten sposób obszar pól uprawnych i zaoszczędzoną ziemię oddali na powrót lasom. Zresztą drzewa i krzewy sadzili wszędzie tam, gdzie było to tylko możliwe. Od tamtej pory wszelkie skupiska ludzkie zmieniły się w bajeczne ogrody, których przepych cieszył oczy i niósł ukojenie po trudach

dnia. W następnym etapie Igewarowie chcieli na nowo połączyć ludzi z naturą. Jednak nie zdążyli tego dokonać.

Na Oceanie Jasności po raz drugi pojawiły się okręty. Tym razem przybyli na nich Sajnowie, wspaniali znawcy telepatii, a w późniejszym okresie - odkrywcy sztuki teleportacji. Ich woli poddały się wszystkie żywe istoty. Oni to otworzyli oczy autochtonom, pokazali im wszechświat i nauczyli go rozumieć. Wywiedli ich poza granice nieba, na którym nigdy nie było widać gwiazd, bo nigdy nie było nocy. Odślonili im piękno niewyobrażalnego wprost ogromu, pełnego srebrnych pyłów mgławic i galaktyk. Poprowadzili przez ciemność mroźnej pustki ku innym słońcom, gdzie na niektórych planetach krzewiło się lub zaczynało się krzewić życie. Byli pierwszymi nauczycielami i przewodnikami w odkrywaniu Nieznanego. Przepelnieni mądrością swoich bogów, wprowadzali wszystkich w tajniki wiedzy życia, nakazując przy tym cierpliwość, zrozumienie i poszanowanie dla innych obcych istot. Ale przecież i władza Sajnow musiała przeminąć, gdy od Morza Wielkich Mgieł przybyli Zedrowie.

Przewyższali Sajnow w wielu dziedzinach. Już z dawien dawna potrafili przeniknąć wszelkie tajemnice Mocy i nauczyli się nią władać. Ich wybitne umysły, pełne artystycznej wrażliwości, tworzyły dzieła niezapomniane, dzieła piękne i nieomal doskonałe. Budowle z tego okresu jaśnieją architektonicznym kunsztem aż do dzisiaj. Każdy ich drobiazg, nawet najmniejsza cząstka nosi znamię misternej, przepojonej artyzmem pracy. Wszystko, co tylko jest wytworem pracy ich rąk i umysłów, stanowi odbicie radosnej chęci tworzenia - i domy, i mosty, i tunele, i akwedukty, i pomniki, a nawet płyty chodników w miastach. Kontynent Spokoju zdawał się wtedy przeżywać swój złoty wiek. Ale trwało to krótko, bo zaledwie czterysta lat. Do chwili, gdy na wielkich białych ptakach nadlecieli Hordeni.

Była to wiecznie zamyślona rasa, obdarzona sporą dozą inteligencji, ale hołdująca jednemu celowi - genetyce. Hordeni stworzyli wiele dziwnych istot i zaludnili nimi lądy, wody oraz niebo. Jednak nie mieli zbyt wielkiego szczęścia. Nim upłynęło trzysta lat, poczęli zapadać na tajemniczą chorobę, która była efektem nie przemyślanych, a dokonanych przez ich protoplastów manipulacji na kodzie genetycznym. Choroba owa wytrzebiła ich co do nogi. Ostatnim z tych, co pożegnali świat, był władca Colden Sprawiedliwy. Zamykając na zawsze oczy, przepowiedział nadejście wspaniałych istot, które odmienia życie na planecie.

Przepowiednia spełniła się po jedenastu latach. Z Wyspy Słonecznej, leżącej wśród bezmiaru wód Oceanu Szczęścia, przybyli szlachetni Lorengodowie, których mądrość i dobroć należy postawić sobie jako wzór do naśladowania. Lorengodowie osiągnęli stan długowieczności. Swą cichą łagodnością sprawili, że na Aur zgasło wszelkie zło. Mając na uwadze przyszłość wszystkich ras i ludów, wybudowali pod powierzchnią globu ogromne miasta, zdolne spełniać wiele pragnień tych, którzy tam zawitają. Miasta same potrafią wydłużać istnienie w nieskończoność.

Z Lorengodów w prostej linii wywodzą się Vitarowie - Dzieci Światła. Vitarowie zakończyli Okres Wielkich Przemian. Stanowiąc jakoby sumę nieustannej mieszaniny ras, zebrali całe dziedzictwo poprzednich pokoleń i postanowili przyswoić sobie z niego wszystko to, co było w nim dobre. Tak zrodziła się jedyna w swoim rodzaju cywilizacja, której obce były strach i nienawiść, wojny i niesprawiedliwość, głód i choroby. Przez wiele lat Vitarowie rozwijali i porządkowali swoją wiedzę, doskonalili swój sposób życia, wyrzucali zeń wszelkie zło. W ten sposób doszli do

stanu równowagi, który miał się utrzymać przez tysiąclecia. Gdy przekonali się, że jest to jedyny możliwy i naturalny stan egzystencji, zapragnęli przenieść swoje doświadczenia na inne planety.

Docierali do różnych miejsc. Byli wszędzie tam, gdzie krzewiło się życie. W mgnieniu oka pokonywali pustkę kosmiczną, tak jakby setki, tysiące i dziesiątki tysięcy lat świetlnych odległości nie istniały. Osiadali na tych globach i przybierali różną postać, by w osamotnieniu toczyć walkę o szczęście obcych im istot. Wśród wrogiej przyrody, gdzie każdy dzień krył w sobie niebezpieczeństwo, a każda noc niosła jeszcze gorsze groźby, tłumili własny lęk i odstawiali tajniki najprostszej wiedzy, by choć trochę ulżyć doli przerażonych półzwierząt. W ich mrocznych i bezwzględnych umysłach, którymi wciąż jeszcze władały impulsy instynktów - próbowali rozniecić iskierki wiary, miłości i nadziei. Właśnie do Vitarów, klęcząc, zwracali się w bełkotliwej mowie o pomoc członkowie hordy; ich to, ze łzami w oczach, błagano o pozostanie na planecie, gdy chcieli już odejść. I pozostawali. Pod świecącymi zimno księżycami, wśród rozgwieżdżonych nocy głęboko w myślach ukrywali przejmujące uczucie nostalgii za Aur.

Byli na Kanopie, na Etleem, na Seunie, na Mogorze, na Transji, na Venei, na Lyn, na Ireonie, na Holdii, na Jurr, na Xevii, na Ziemi... Tak, byli na Ziemi, nieomal od zarania człowieczych dziejów. Prowadzili niezgrabne, przygarbione małpoludy do jaskiń, uczyli je krzesać ogień, polować i dzielić sprawiedliwie upolowaną zdobycz. Ratowali je od katastrof, wraz z nimi robili pierwsze prymitywne narzędzia, powtarzali pierwsze sylaby - wrr, krra, auu, norr, yll - zaczątki mowy ludzkiej. Tłumaczyli im cały ład i porządek panujący w naturze, próbowali obudzić wyobraźnię, dać do zrozumienia, że życie nie ogranicza się tylko do jedzenia, kopulacji i wydawania na świat potomstwa. Trzymając ich sztywne, nawykłe dotąd do zabijania ręce - uczyli, jak prowadzić odłamkiem węgla drzewnego po ścianie skalnej, by z czarnych linii zrodziło się coś więcej niż chaotyczne gryzmoły. Powstawały na ścianach fragmenty wizerunków, a z tych fragmentów wyobrażenie świata, w którym żyła horda. Ci pierwsi artyści, gdy rysunek był już gotów, uderzali długimi rękoma po udach, cmokali z zachwytu i zwoływali resztę, by go oglądała.

Wtedy jeszcze Vitarowie wierzyli, że mogą ukształtować świat według własnych wzorów. Jakże byli rozczarowani ci, którzy przybyli na Ziemię wiele tysiącleci później. Zło jak wezbrana rzeka opływało glob, siejąc zniszczenie, strach i nienawiść. Bogowie zabijali bogów, królowie królów, brat podnosił rękę na brata, przyjaciel na przyjaciela, dzieci na swych ojców, a ojcowie na swoje dzieci. Zdegenerowana rasa żyła krótko, nie zaznając spokoju wśród rozpaczliwego pośpiechu uciekających dni i nocy. Vitarowie próbowali to odmienić. Zdani jednak na samotną walkę, przegrywali. Prześladowano ich, torturowano, zabijano. Podobnie było na wielu innych planetach, a na niektórych jeszcze gorzej. A później przyszła porażka groźniejsza od wszystkich dotąd zło dosięgło samej Aur.

Prawdziwe nieszczęścia Vitarów zaczęły się od momentu, gdy ich wysłannik dotarł do planety Guor. Glob ten krążył wokół dogorywającej gwiazdy i pogrążony był w odwiecznych mrokach. Czerwony karzeł emitował energię jedynie w paśmie podczerwonym, ale równocześnie stanowił źródło tajemniczych promieni Q, dzięki którym mogło istnieć życie na planecie. Ciemność była żywiołem jej mieszkańców, światło niesło im śmierć. Surowe i ponure środowisko miało swój wpływ na rozwój osobowości żyjących na Guor istot. Ich egzystencją kierowały twarde, bezwzględne prawa. Byli zimni i okrutni, zaborczy i egoistyczni, nienawidzili świata, który pełen był

zabójczej energii świetlnej. Należało go zniszczyć - ta idea wżarła się w ich umysły, trawiła je i pograżała w szaleństwie. Stała się głównym celem istnienia, któremu podporządkowali wszelkie wysiłki.

Przybycie Vitara uznali za początek nowej ery. Zabijając go, zabijali wszystko to, do czego czuli wstręt i pogardę; a równocześnie rzucali wyzwanie odległym gwiazdom. Jednak, zanim zabili w nim życie, torturowali długo, by wydobyć potrzebne informacje. Potem przez wiele lat budowali statki kosmiczne i okrywali je odpowiednimi osłonami, które miały chronić przed światłem. A gdy dzieło dobiegło końca, znów wiele lat lecieli przez pustkę kosmiczną, by dotrzeć do Planety Wiecznego Dnia. Wciąż podsycana nienawiść dodawała im sił. Ci, którzy pozostali na Guor, budowali następne statki i odlatywali na poszukiwanie innych globów. Synowie Ciemności wyruszyli na podbój wszechświata. Towarzyszył im mrok, pustka i chłód, które tak bardzo lubili. Byli pewni swej przewagi, gdyż nie trawiły ich żadne wątpliwości, a cele były jednoznaczne. Niszczyć zawsze jest najłatwiej.

Gdy czarne statki pojawiły się na wielobarwnym niebie Aur, po raz pierwszy od wielu eonów Vitarami wstrząsnęła trwoga. Złowrogie cygara krążyły nieustannie po orbitach, nie zbliżając się do powierzchni globu. Rozsiewały jakieś substancje, które gęstniały natychmiast, w wyniku czego planetę zaczął ogarniać mrok. Światło czterech słońc z coraz większym trudem przebijało się przez burą zawiesinę i mieszkańcy z przerażeniem obserwowali, jak wieczny dzień gaśnie i zmienia się w znieruchomiałe przedpole nocy. Tak już miało pozostać.

Wreszcie statki poczęły lądować. Wychodziły z nich istoty w szarych zbrojach i narzuconych na nie pelerynach. Nie starały się nawiązać żadnego kontaktu, nie stawiały też żadnych warunków. Próba telepatycznej penetracji ich umysłów spełzła na niczym. Psychika mieszkańców Guor była tak odmienna, tak przewrotna i zła, że wszelkie zabiegi, mające na celu inwigilację ich osobowości, kończyły się szokiem szaleństwa dla tego, kto je podejmował.

Potwierdzała się prawda stara jak świat: jeżeli dobro zna swoje granice, zło ich nie zna. Na Aur nastał okres polowań. Kobiety brano do niewoli, mężczyźni byli zabijani na miejscu. Olbrzymie maszyny stawiały gigantyczne budowle. W nich zamykano mieszkanki planety, by w pokorze i poniżeniu usługiwały swoim nowym właścicielom.

Gdy Vitarowie oprzytomnieli z pierwszego szoku, poczęli gromadzić się w grupy, by dać skuteczniejszy odpór. Niszczili wrogów posługując się Mocą. Odpowiedzią ze strony Synów Ciemności była eskalacja okrucieństw. Już nie tylko zabijali, ale też stosowali coraz to wymyślniejsze tortury. Vitarowie na nowo odkryli w sobie uczucie, o którym dawno zapomnieli - nienawiść. A im więcej widzieli okrucieństw i im częściej musieli zabijać, tym bardziej nienawiść rozrastała się w nich i pożerała wszystko, czym dotąd żyli. Niszczyła ich. Pustosząc wnętrza osłabiała w nich Moc; osłabiając Moc, czyniła ich bezbronniymi. Przegrywali. Świadomość tę potęgował fakt, iż tak naprawdę nikt nie wiedział, z kim walczy. Nie znali psychiki wroga, żaden z nich też nie widział jego oblicza. Zbroje zabitych przeciwników okazywały się puste. Kim byli? Duchami?

Przerażeniem napawała postać wodza najeźdźców, Władcy Zabijającego Uśmiechu. Krążyły na jego temat legendy. Zaledwie kilku Vitarów spośród tych, którzy znaleźli się w jego pobliżu, uszło z

życiem. Władca Zabijającego Uśmiechu był zwalistej postaci, przewyższał wzrostem najtęższych spośród poddanych. Z tej części jego głowy, gdzie każda normalna istota ma twarz, emanowała zimna, srebrzysta poświata, która falując, dawała wrażenie skrzywionego w uśmiechu oblicza. Uśmiech ten przyciągał, przenikał i paraliżował wolę. Wywoływał tak okrutne myśli i skojarzenia, że nie potrafił ich znieść żaden normalny, zdrowo rozumiejący intelekt. Doprowadzał do szału, do amoku, od którego jedynym wyzwoleniem była śmierć. I ofiary same ją sobie zadawały, a ich agonia dokonywała się wśród krzyku, bowiem cierpienia nie zaoszczędzono im do końca.

Tak to świat Vitarów zdawał się chylić ku upadkowi. Ich, Dzieci Światła, zabijał mrok, bezradność i brak nadziei. Moc im wymykała się z rąk, a przyszłość nie wróżyła niczego więcej ponad udrękę. Zostało tylko jedno - ucieczka. Schodzili więc do podziemnych miast Lorengodów, gdzie było wiele światła i gdzie Synowie Ciemności bali się zapuszczać. A miasta przyjmowały ich gościnnie, zupełnie jakby właśnie na nich oczekiwały od samego zarania. Tu układali się w sarkofagach Komór Snu i zapadali w głęboki letarg, w którym niczego się nie czuje, a czas biologiczny przestaje istnieć. Pozostało tylko kilku Strażników Czuwania, których co jakiś czas zmieniano. Mieli oczekiwać nadejścia świtu. Nieważne przy tym było, kiedy ten świt nadejdzie i kto go przyniesie. Od wielu tysięcy lat obserwowali wszechświat i nic w nim nie było wieczne, nawet zło, więc zdecydowali się je po prostu przespać.

W głębi planety Aur nastąpiła Epoka Snu, a na jej powierzchni szaleli Synowie Ciemności, którzy postawili sobie za cel przekształcić glob w pustynię. Niszczyli wszystko, co mogło świadczyć o dawnych, chwalebnych czasach, a ich nienawiść wzmagał fakt, iż nie mogli osiągnąć i zetrzeć na proch tych, którzy byli prawowitymi władcami konającego świata...

Starzec zamknął oczy i zdawał się drzemać. Art poruszył się niespokojnie. Komnatę wypełniała szkarłatna mgła. Promienie światła przenikały ją niczym wielkie jasne słupy. Jakaś muzyka spływała z góry i zdawała się skarżyć na pustkę zniewolonych ziem. Dźwięki ciągnęły się płaczliwie, rozbiegały i jak krople rosy, które ciężą w dół, spadały w głąb jego poruszonej jaźni. Podłoga iskrzyła miriadami błysków. Miał wrażenie, że w nich zawiera się przeznaczenie wielu bilionów istnień. Na ścianach tańczyły kolorowe smugi. Gdzieś z perspektywy napływało jaśniejsze tło, uderzało w nie i znów się cofało, a mgła krążyła wielkim, pienistym lejem, fosforyzując błękitnie u podstawy. Całe pomieszczenie zdawało się puchnąć, rozszerzać i rozbiegać na boki. Art znów poruszył się niespokojnie. Starzec otworzył oczy.

- Nie obawiaj się, synu - przenikliwe spojrzenie Ojca Przeznaczenia przeszło go na wskroś. Art był pewien, że starzec czyta w jego myślach. Niczego nie można było przed nim ukryć.

- Ojczy, kim właściwie jestem?

- Tej prawdy musisz doszukać się w samym sobie.

- Nazywasz mnie Rycerzem Światłości.

- Święty miecz Rycerzy Światłości jest dziedzictwem po Totamarach. Raz na kilkadziesiąt wieków miecz ten ukazuje się wybranemu z wybranych. Ale i spośród nich niewielu chwyta za rękojęść i podejmuje dzieło szlachetnej walki. Na przestrzeni tylu eonów było zaledwie kilku

Rycerzy Światłości. Ich imiona przetrwały wieczność. Rycerze ci, gdy uznali, że wypełniło się ich przeznaczenie, wracali do swojego świata, odkładali miecz, który zniknął, i dalej żyli jak wszyscy, aż do swojego kresu. Tyle mogłem ci powiedzieć. I jeszcze to, że gdzieś w wielkiej budowli Synów Ciemności ukryta jest maszyna, która wytwarza promieniowanie niezbędne im do życia. Jeśli odważysz się i podejmiesz walkę, będziesz musiał ją zniszczyć. A teraz żegnaj! Oddaję cię twojemu losowi. Światło z tobą, synu.

Art przestraszył się nagle, że znów zostanie sam.

- Ojczy, jestem tylko słabym człowiekiem!

Starzec po raz ostatni się uśmiechnął.

- Co dla jednych jest słabością, dla innych stanowi groźną siłę, która ich może zetrzeć w proch. Ufaj mi, będą lękali się twych słabości...

Wszystko znikło jak zdmuchnięte. Klęczał na drodze wśród półmroku. Wiatr łagodnym powiewem uderzał w jego twarz. Od ziemi płynęło łagodne drżenie Mocy. Wyculone nerwy odbierały ją za pomocą wszystkich zmysłów. Jej obecność wydawała się tak oczywista i nieodzowna, jak obecność powietrza, którym się oddycha. Art wstał i dotknął swoich ramion. Okrywała je gładka i twarda zbroja. U pasa czuł przyjazny ciężar świętego miecza. Przeznaczenie znów przywoływało go z oddali, a coś, czego nie potrafił nazwać, wielkim ciepłem rozpływało się po jego wnętrzu. Zaczerpnął zapachu suszonych traw i zdecydowanie ruszył po udeptanym piachu drogi.

Droga wiodła przez las. Bezlistne konary drzew na tle fioletowego nieba wyglądały niczym ogromne zasieki. Tkwiły nieruchomo, posępne i jakby zakłete. U dołu czaiła się ciemność gęsta niby sadza. W mroku, co jakiś czas, błyskały ślepie i gasły jak zduszone dłonią płomyki. Gdzieś tam fosforyzował blado zmurszały pień. Z mrocznej ciżby drzew i zarośli dobiegało wycie tak ponure i beznadziejne, że skóra cierpła na plecach. Chwilami nad jego głową rozlegał się nieprzyjemny furkot skrzydeł. Ptaki w wymarłym lesie były tak podobne do nietoperzy, że z odrazą uchylał głowę.

Cały czas trzymał dłoń na rękojeści miecza. Narastająca wokół Arta atmosfera wrogości sprawiała, iż w jego pamięci znów odżywały obrazki z Przeklętej. Nawet najgłębsze sztolnie kopalni teraz wydawały mu się przytulne i pełne poczucia bezpieczeństwa. I znów krzyczał w nim dawny „kontraktowiec” numer dziewięćdziesiąt trzy osiemdziesiąt jeden trzydzieści sześć, istota spragniona towarzystwa i ciepła.

Zaciskał wtedy zęby, by otrząsnąć się z podobnych pragnień. Prawdziwa samotność - powtarzał w myślach, idąc dalej - zaczyna się dopiero wtedy, gdy już nikt na nas nie czeka. Prawdziwa samotność zaczyna się...

Całym sobą wierząc w to, że u końca szlaku Rycerza Światłości ktoś będzie go oczekiwał, przemierzał drogę. A przemierzając ją, starał się nic nie tracić ze swej czujności. Dlatego natychmiast, kiedy z gęstwiny wytoczył się wielki cień, Art zastygł w miejscu. Czekał z wyciągniętą bronią. Dobiegło go ciężkie sapanie. Minęła dłuższa chwila, zanim zorientował się, że stwór nie ma zamiaru atakować. Poruszał się niepewnie, zatrzymywał i cofał, potem znów zbliżał na kilka kroków. Wielkością był zbliżony do ziemskiego hipopotama, a jego zachowanie wyraźnie wskazywało na to, że boi się wyciągniętego miecza. Art schował broń do pochwy. Wtedy zwierzę zbliżyło się kołysząc wielkim łbem, schylonym nisko ku ziemi. Owe ruchy kojarzyły się ze znakami oczekiwania na jakiś przyjazny gest. Bestia nie mogła mieć nic wspólnego z Synami Ciemności - tak podpowiadało wewnętrzne przekonanie. Była najwyraźniej oswojona z widokiem i zapachem człekokształtnych istot. Przełamując wewnętrzny opór, Art poklepał ją po tłustym karku. Ufnie dotknęła nozdrzami jego dłoni. Mruczała przy tym i sapała, jakby pragnęła oznajmić, że było jej brak tego rodzaju czułości. Potem poszła za nim jak pies.

Miał teraz towarzysza podróży. Co chwilę klepał zwierzę w szerokie plecy, a ono przysuwało się doń, łasiło i ocierało. Co prawda owe pieszczoty kilkutonowej masy ciała spychały Arta na pobocze drogi, ale nie miał o to pretensji. Czas przestał się dłużyć w nieskończoność, a czarna ściana lasu wydawała się jakoś mniej wroga i odrażająca.

Za jednym z kolejnych zakrętów, których było tyle, że Art nie potrafiłby ich zliczyć ani zapamiętać - las urwał się i weszli na most wiszący ponad szerokim pasmem wody. Ich kroki budziły głuchy łoskot. Drewniany budulec zachował swoją twardość i można było poruszać się bez obawy. Woda u dołu płynęła bezszelestnie i wydawała się nieruchoma niczym tafla lodu.

Gdy znów wkroczyli na piaszczysty trakt, zwierzę zatrzymało się i nie chciało iść dalej. Art próbował je zachęcić poklepywaniem i cichymi, serdecznymi słowami, ale ono uparcie tkwiło w miejscu. Mało tego, zachowywało się tak, jakby chciało go ostrzec, odwieść od zamiaru dalszej

wędrówki. Nawet chwyciło w paszczę dłoń nowego opiekuna i ciągnąc delikatnie, starało się przekonać do powrotu.

- Nic ci to nie pomoże - mruknął Art z nutą żalu i rozczarowania. - Muszę tam iść.

Uwolnił rękę i z ciężkim westchnieniem ruszył dalej. Zwierzę pozostało w miejscu i tkwiło tam z żałośnie opuszczonym łbem. Takim je zapamiętał, zanim obła sylwetka nie zlała się z ciemnością.

Droga prowadziła teraz pod górę. Napiętymi aż do bólu zmysłami wyczuwał obce siły. Sygnały przez nie emanowane docierały doń z nie spotykaną dotąd mocą. Nie miał żadnych wątpliwości, że w pobliżu są najeźdźcy i że jest ich bardzo wielu. Wspinaczka dawała się we znaki. Ciężko dysząc wdrapał się na szczyt wzgórza. W tyle u dołu rozciągała się czupryna lasu. Z przeciwnej strony majaczyła na tle nieboskłonu ogromna budowla. Brakowało w niej tych zróżnicowanych konfiguracji murów, jakimi zawsze charakteryzują się stare zamczyska. Nie było ani załomów wież, ani wyszczerbień, dachów, ani też przestrzałów ulic. Ten twór konstrukcyjny raził obcością, nieludzką wprost precyzją geometrycznych kształtów. Tkwił niczym wielki prostopadłościan, zrzucony nie wiadomo skąd. Dopiero później miał się Art przekonać, że złudnego wyglądu geometrycznej bryły nadawał miastu okalający je zwarty i bardzo wysoki mur. Na razie było dlań jasne jedynie to, że dotarł do celu wędrówki. I choć był pewien, iż jest w stanie przedrzeć się do środka twierdzy, to jednak szansę wydostania się z niej oceniał na bardzo nikłą.

Z daleka dobiegał go świst pojazdów i dziwaczna, podobna do bulgotania mowa. Odgłosy te uświadamiały w całej jaskrawości, że przyjdzie mu stoczyć walkę na śmierć i życie. Cokolwiek miało się zdarzyć, w tej walce mógł liczyć tylko na siebie. Prawda ta nie budziła w nim zbytniego zapału, co w końcu było przecież zrozumiałe. Jak człowiek postawiony na rozdrożu, poczuł zwątpienie. A wraz ze zwątpieniem obudził się w nim strach. Oto nadszedł czas prawdziwej próby. Mogła być ona pierwszą i ostatnią w jego życiu. Chciał się przekonać, czy jest w stanie jej podołać i jak każdy człowiek, który staje przed ewentualnością utraty życia, postanowił spojrzeć w głąb własnego wnętrza. Ku temu pchał go podświadomy nakaz. Nie mógł wiedzieć, że identycznie zachowywali się wszyscy jego poprzednicy. Była to jedna z reguł postępowania Rycerzy Światłości.

Wyjął miecz i wbił go głęboko w piach. Potem sam położył się na ziemi i okrywając dłońmi tajemnicze znaki na rękodości zaczął wsłuchiwać się w Moc. A ta przenikała go wielorakimi odczuciami. Przez jego ciało i umysł płynęły strumienie sił oczyszczających z nalotu trwogi, napełniających ufnością i nadzieją. Świat wokół przestał istnieć, a osobowość Arta jakby rozpadała się na dwie części. Jedna z tych części oddalała się i przed oczyma jego wyobraźni formowała w obcy, jednolity kształt. Teraz widział wyraźnie - to była twarz, jego własna, bardzo skupiona i wpatrująca się weń z napięciem. Chciał dotknąć swojej głowy, ale dłoń trafiła w próżnię. Rozczarowany opadł na ziemię i milczał. Czekał na jakiś znak ze strony obserwującego go oblicza. Ale znaku nie było, dlatego sam zapytał:

- Czemu mnie opuściłaś?

- Bo jestem drugą częścią twojej jaźni - odrzekła - częścią już określoną, która ma prawo do własnego zdania.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś czymś obcym we mnie?

- Nie. Po prostu jest dwóch Arturów: jeden prymitywny, pełen obłudy i leku, uchylający się od decyzji i odpowiedzialności, i drugi - jego zaprzeczenie. Pierwszy Artur to człowiek, drugi - to Rycerz Światłości. Wspólnie nie tworzą zbyt zgodnej pary. Artur-człowiek jest pełen wątpliwości, czuje się obco w tym świecie i cierpi na nostalgie za życiem przyozdobionym przez wspomnienia. Rycerz Światłości nie ma tych problemów, jego droga jest prosta, a cel jednoznaczny. Dobrze wiesz, że nie można być rozdartym na dwie części. Przepołowione drzewo nie rodzi zdrowych owoców. Którego więc z nich wybierzesz?

- Ty chciałaś natychmiast samookreślenia, lecz czyżbyś nie wiedziała, że człowiek szarpie się we mnie, bo pragnie powrotu do świata, który porzucił?

- A czy ten człowiek zachowywałby się tak samo, gdyby tutejszy świat zastał takim, jakim był on ongiś?

- A więc uważasz, że moja chęć ucieczki wynika z tchórzliwych pobudek?

- To pewne.

- Powiedzmy. No, ale jeśli pójdę do tamtego miasta i zginę. Jaki sens będzie miała moja śmierć?

- A jeśli wrócisz do swojego świata, jaki sens będzie miało twoje życie?

- Będę żył.

- Wegetował.

- Chociażby, lecz nie wyrzekając się świadomości istnienia.

- Dziecinne argumenty. Weź i połóż na szalę wartość, jaką stanowisz dla innych w tamtym świecie, i wartość, jaką stanowisz tutaj.

- A jakie może mieć znaczenie ta wartość dla kogoś, kto się boi i jest pełen zwątpienia?

- To tylko nędzne racje, którymi próbujesz usprawiedliwiać się, osłaniać swoją niechęć do podejmowania decyzji.

- A czy zawsze człowiek musi dokonywać jakiegoś wyboru?

- Oczywiście, że nie. Może to pozostawić innym. Może żyć jak zwierzę, ograniczając się jedynie do jedzenia, poszukiwania wygod i chęci zapewnienia sobie bezpieczeństwa. I czuć do siebie pogardę.

- Uważasz więc, że nie' ma dla mnie drogi odwrotu?

- Sam zadecydowałeś.

Rysy twarzy nagle wygładziły się; odpadł z niej wyraz napięcia i stała się pusta jak maska, która niczego nie wyraża. A potem poczęła się zbliżać, coraz bardziej i bardziej, i czuł, jak go przenika, oblepia i staje się jego twarzą. Potrząsnął głową. Był jak człowiek, który się budzi ze snu. Wracały odgłosy świata wokół. Wstał, wyciągnął miecz z ziemi i unióśł go nad głową. Klinga jarzyła się błękitnym światłem. Otrzymał błogosławieństwo Mocy i boga Theorra oraz wszystkich tych wodzów totamarskich, których tajemna władza sięgała głęboko w przyszłość. W powietrzu zakreślił ostrzem miecza trójkątny znak - znak Rycerzy Światłości. Wiedział już, że gdyby zakreślił go wokół siebie, stałby się niewidzialny za sprawą duchów opiekuńczych. Ale nie chciał tego. Nie było w nim teraz ani odrobiny lęku, a tylko gotowość do walki. Poszedł więc stawić czoło swojemu przeznaczeniu.

Grupa strażników u bram nie zdążyła nikogo zaalarmować. Spadł na nich jak błyskawica i zadał cichą śmierć. Wyłonił się z ciemności niczym anioł zemsty z ognistym mieczem, wprawiając ich w osłupienie. Tylko głuchy łoskot spadających hełmów i jękliwy świst świadczyły o zadanych ciosach. Dopiero jakiś przypadkowy przechodzień zdołał wybulgotać ostrzeżenie. Ale było już za późno. Art przekroczył mury twierdzy.

Wiedziony wewnętrznym nakazem, ściał dość wysoki krzew, który sterczał pod ścianą pobliskiego domu. Chwycił go u nasady i powłókł za sobą. Teraz już nie musiał się śpieszyć. Wąską ulicą przedostał się na kwadratowy plac i nikt mu się nie ośmielił zagrozić drogi. Strach wypełnia najsilniej tych, którzy próbują go szeryć. Posługując się nim i widząc efekty jego oddziaływania, nabierają doń coraz większego respektu. Aż przychodzi dzień, gdy ten strach ich samych pożera i wtedy nie mogą już zaznać spokoju.

Pojedyncze sylwetki pierzchały na jego widok. Dopiero później, gdy już znalazł się w środku obszernego placu, tamci poczęli gromadzić się po obrzeżach i otaczać go coraz ciaśniejszym pierścieniem. Znów nakreślił w powietrzu znak Rycerzy Światłości. Grad strzał wymierzonych w jego znieruchomiłą postać nie sięgnął celu. Odbijały się od niewidzialnej przeszkody, kruszyły i spadały na ziemię. Art spokojnie wyjął laserową zapalniczkę. Trzeba ich nauczyć respektu dla mojej osoby - pomyślał. Żółty promień światła skierował na wyschnięte gałęzie krzewu. Pełgające płomyki poczęły pochłaniać drewno. Buchnął ogień, a z setek gardzieli wyrwało się trwożne bulgotanie. Ci, którzy byli najbliżej, natychmiast padli rażeni blaskiem. Reszta zerwała się do ucieczki, w popłochu tratując jedni drugich. Bulgotanie sięgnęło rozpaczliwie wysokich tonów. Nawet mury, które od czasu, jak tu stały, nie wchłonęły takiej porcji światła - teraz zaczęły niebezpiecznie trzeszczeć. Była to zapowiedź apokalipsy. Niewielu naocznych świadków uszło z życiem. W całym grodzie zawyły sygnały alarmowe i aż dławily się na wysokim diapazonie dźwięku, jak człowiek rozwścieczony do granic wytrzymałości.

Art spokojnie doczekał, aż ognisko wypali się do końca. Od tej chwili już tamci wiedzieli, z jakim przeciwnikiem mają do czynienia. To nie był zwykły Vitar, którego łatwo usidlić, by potem bezkarnie zadawać mu tortury. Mieli przed sobą kogoś, kto się znał na rzemiośle wojennym. Sądząc po jego zachowaniu, nie istniało dla nich inne wyjście, jak tylko podjąć walkę i próbować go zniszczyć.

Posępny i milczący zanurzył się w następnej z wąskich uliczek. Zachowywał się jak człowiek pogrążony w hipnotycznym transie. Był celem nagonki, a jednak wcale nie czuł się jak zaszczuta zwierzyna. Również polował i świadomość tego faktu była krzepiąca.

Kiedy ucichł dźwięk sygnałów alarmowych, wciąż mu się zdawało, że je słyszy. W ciszy, która zapadła, i w bezruchu, który go znów otaczał - czaiło się niebezpieczeństwo. Tak jak pies wyczuwa świeży trop, tak i on wyczuwał je napiętymi zmysłami. Ale jakiego rodzaju była to groźba, tego już nie mógł odkryć. Dlatego, tak na wszelki wypadek, chciał nakreślić w powietrzu trójkątny znak.

W tym samym momencie dosięgły go promienie śmierci. Na skórze, w płucach i w całym sobie poczuł ich dezintegrującą siłę. Potknął się, zwinął i upadł. Uratował go instynktowny odruch ciała, które nie czekając na impuls płynący z mózgu, szarpnęło się do tyłu i wprowadziło samo siebie w ruch obrotowy. Przetoczył się kilka razy, a porażone uszy z trudem wychwyciły chrzęst zbroi ocierającej się o piasek. Ten odgłos wydawał się ledwie uchwytny, jakby dochodził ze zbyt dużej odległości. A przecież zdążył wchłonąć w siebie potężną dawkę Mocy i przelać ją w pierścień. Opal znów zadziałał jak laserowy generator. Oślepiający strumień błyskawicy uderzył w mur i go przetopił. Wzbudził też i zgasił żalosne bulgotanie. Art, sam porażony blaskiem, dalej spijał z ziemi energię i ładował nią organizm. Równocześnie jego umysł uderzył wewnętrznym, skoncentrowanym nakazem, by komórki przyspieszyły swój metabolizm. W ten sposób w bardzo krótkim czasie zostały zlokalizowane i zneutralizowane uszkodzenia, jakich dokonało promieniowanie. Nieomal namacalnie czuł, jak jego ciało powraca do stanu równowagi - przynajmniej na tyle, by być gotowe do dalszej walki.

Gdzieś z boku dobiegł go głuchy tupot. Nie mógł on być niczym innym, jak tylko odgłosem rozpedzonego stada ciężkich zwierząt. W tym oszalałym biegu czuć było siłę zdolną roztrzaskać i zdeptać każdą przeszkodę. Art wyszczerzył zęby w przebiegłym uśmiechu. Poszczuto nań trzygłowe bestie. Ale tym razem nie poczuł trwogi. Groźba tego ataku nie wydawała mu się przerażająca. Każdej sile można przeciwstawić inną - taką, która ją przerasta. Wszystko było tylko kwestią zdolności stworzenia takiej siły. Po raz drugi na jego twarzy zakwitł przebiegły uśmiech. Art zamknął oczy i dał się przeniknąć pragnieniu, które nie miało nic wspólnego z człowieczymi odczuciami i było w nim czymś tak nowym, że aż sam przeżył zaskoczenie. Gdzieś w jego świadomości przewijały się obrazy i doznania, które stanowiły skutek wędrówki wzdłuż zapisu kodu genetycznego - trop po tropie, wzdłuż całego łańcucha wiązań - aż do tych najstarszych reliktywów ewolucji żywego organizmu, który na przestrzeni miliardów lat przechodził wszystkie fazy: od pojedynczej komórki do form najbardziej skomplikowanych. Wreszcie znalazł to, co mu było potrzebne, i przerwał poszukiwania. Miał już gotowy schemat, jakby matrycę, którą należało jedynie powielić. Umysł Arta odmienił ów zapis w odpowiedni impuls energii. I w tej samej chwili odżyło w nim wszystko to, co przez eony eonów wydawało się martwe, jakby pogrzebane na zawsze i nieodwracalne. Teraz czuł w sobie siłę tworzącą, zdolną reanimować zapomniany schemat. Podsycał więc tę siłę każdą cząstką swojej duszy i każdą komórką posłusznego ciała. Czuł jak się rozrasta, jak potężnieje we wszystkich kierunkach i staje się ciężki niby czołg.

Głowa mu puchła i wydłużała się w gadzi pysk, a zęby zmieniały się w długie kły. Chciał wydać okrzyk, który rozbudza instynkt walki i podjudza do ataku. Ale zamiast okrzyku rozległ się okrutny,

krwiożerczy ryk. Sapiąc, rozpedził do cwału oporną bryłę swojego nowego ciała. Pod szerokimi, uzbrojonymi w pazury łapami zajęczała ziemia. Niczym taran uderzył w nadbiegające stado. Trzygłowe bestie odbijały się od pokrytego łuską potwora i z piskiem odlatywały na boki. Był jak forteca, wobec której wydawały się uprzykrzonymi owadami. Kąsał wściekle, tratował i rozrzucał na wszystkie strony zmiażdżone szczątki. Te z atakujących zwierząt, których nie sięgnął, zawróciły i poczęły umykać wyjąc przy tym płacząc. Wtedy uniósł wysoko łeb i zaryczał zwycięsko. Ów ryk odbił się wielokrotnym echem wzdłuż murów twierdzy. Wraz z jego gasnącym tonem zdawał się ulatniać z umysłu Arta uprzedni nakaz metamorfozy. Ogromne cielsko poczęło powracać do ludzkiej postaci.

Potem leżał na ziemi i ciężko dysząc odnawiał siły w strumieniu Mocy. Napastnicy długo wzbraniali się zaatakować go po raz trzeci. Dopiero kiedy ruszył w kierunku ciasnego przesmyku, znów spróbowali sztuczki z siecią. Tym razem nie dał się zaskoczyć. Przeciął sieć w powietrzu, zanim opadła. Wtedy to kruźganki najeżyły się długimi dzidami.

Stał jakieś półtora metra niżej, przez co mieli znaczną przewagę. Atakowali z desperacją, jakby rozwścieczeni i wciąż nie mogący uwierzyć, że istnieje ktoś, kto ośmiela się im przeciwstawić. Bronił się zaciekle, dopóki jedna z dzid nie wytrąciła mu z ręki miecza. Wtedy stojący obok napastnik pchnął go prosto w pierś. Co prawda ostrze nie zdołało przebić pancerza, ale uderzenie było wystarczająco silne, by go powalić. Padł na plecy i przez chwilę leżał ogłuszony tym nagłym, niczym nie zamortyzowanym zderzeniem z ziemią. Najodważniejszy z napastników zeskoczył z balkonu, aby zabrać miecz. Za nim już skakali następni. Art oprzytomniał na tyle, by pojąć groźbę sytuacji. Szarpnął się. A później stało się coś, co było zaskoczeniem dla wszystkich. Miecz, bez niczyjej pomocy uderzył i zabił tego, który wyciągnął poń swoją rękę. Potem jeszcze zgasił istnienie dwóch stojących najbliżej napastników. Reszta wycofała się bulgocąc gniewnie. Tego nawet dla nich było za wiele. Potykanie się z przeciwnikiem, którego chroniły potężne i tajemnicze moce, przez co wszelkie wybiegi i zasadzki okazywały się daremne - mogło zniechęcić nawet najwaleczniej-szych i najbardziej zapalczywych.

Art pozbierał się z ziemi. Wisząca w powietrzu broń, jakby niesiona przez niewidzialną rękę, zbliżyła się do jego dłoni. Uchwycił rękojeść i tryumfalnie uniósł miecz do góry. Atakujący poczęli wycofywać się z kruźganków. Czynili to w sposób uporządkowany, jakby na rozkaz, co mogło znamionować nowy podstęp. Art zakreślił wokół siebie znak trójkąta i przestał być widzialny. W bulgotaniu tych, którzy jeszcze nie zdążyli opuścić placu walki, wyraźnie wyczuwał konsternację. Jednak nie tracił czasu na zachwyty nad tą nową sztuczką. Nie chcąc kusić losu, po raz drugi odwołał się do swych metamorficznych zdolności. Teraz przemienił się w wielkiego ptaka, który z głośnym łopotaniem wznosił się ponad domy i ciężkim lotem sfrunął do centrum miasta, gdzie sterczała największa, prostopadłościenna budowla.

Znów rozkrzyczały się sygnały alarmowe. Na tyle przywykł już do ich jękliwego dźwięku, że przestały go drażnić. Ptasie pióra ustępowały miejsca błyszczące! powłoce pancerza. Stał naprzeciw wysokiej ściany i po raz pierwszy od momentu przedarcia się do grodu Synów Ciemność! czuł obezwładniające go znużenie. Widocznie działanie Mocy miało również swe granice, których nie należało przekraczać. Dotąd tliła się w nim nieugięta świadomość własnej przewagi. Teraz to poczucie siły gdzieś wyparowało i doznał nieprzyjemnych wrażeń człowieka, którego podstępnie z

czegoś okradzione. Popatrzył na mur, który emanował obcą energią. Wewnętrzny głos podpowiadał, że jeśli wdrze się do środka budowli, będzie musiał polegać wyłącznie na samym sobie. Nie było w tym nic pokrzepiającego. Jego twarz miała wyraz oblicza osoby odartej z ubrania i zawstydzonej swą nagością.

A jednak zdecydował się. Ostrzem uderzył w połyskliwą czerń ściany. Styrr, święty miecz Rycerza Światłości, wniknął w nią jak w karton papieru. Art wyrąbał szeroki otwór. Gdy go przekroczył, opadła nań nieprzenikniona ciemność. Chciał zmusić swój pierścień do świecenia, ale tutaj Moc nie słuchała jego rozkazów. Obce siły były tak potężne, że nie potrafił im się przeciwstawić. Opływały go zewsząd, zimnym dotykiem osiadały na piersiach i mąciły myśli w głowie. Na szczęście przypomniał sobie o laserowej zapalniczce. Wyszperał ją z kieszeni i dotknął zgrubienia przycisku. Anemiczna strużka światła tylko w nikłym stopniu rozjaśniła mrok, ale zawsze było to coś lepszego od kompletnej ćmy. Znajdował się w pomieszczeniu niewiele wyższym od niego, za to bardzo rozległym. Pod stopami chrzęścił żwir i był to jedyny dźwięk przeszywający głuchą, aż zalepiającą uszy ciszę.

Po długiej wędrówce odkrył otwór do jeszcze niższego korytarza i musiał nim iść zgięty we dwoje. Ciasny tunel wyprowadził go do ogromnej groty. Tylko tyle zdążył zauważyć, bowiem wyczerpała się energia w zapalniczce i trzeba było odczekać aż termobaterie naładują się na nowo.

Poszedł na oślep, potykając się i uderzając boleśnie o jakieś występy. Zaabsorbowany marszem, dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że wokół dzieje się coś niedobrego. Stał i zszokowanymi zmysłami próbował przeniknąć otaczającą go czerń. Powietrze w pomieszczeniu jakby zgęstniało, ściany poczęły wibrować przytłumionym dźwiękiem, a ziemia pod stopami drżała, jakby najeżdżało na nią coś ciężkiego. Ale nic nie najeżdżało, tylko wibracja wzmagała się aż do bolesnego klucia w uszach. Począł trząść się niczym człowiek chory na malarię. Już nie panował nad swoim ciałem, które przytłoczył ogromny ciężar. Czuł się tak, jakby włożono go pomiędzy płyty hydraulicznej prasy. Dusił się i charczał, a z jego skroni spływał zimny pot. Chciał krzyczeć, lecz nie potrafił. To już koniec - pomyślał. A jednak jego umysł wciąż się szarpał w beznadziejnym odruchu buntu.

Potem, pełen rozpaczliwego zdumienia, patrzył, jak jego ręce wykonują ruchy, których wcale nie miały zamiaru wykonać. Dłonie odpięły pas z mieczem i odrzuciły go od siebie. Ruchliwe nad wyraz palce ściągnęły pierścień i również upuściły go na ziemię. Był bezbronny i nie miał żadnej szansy, aby temu zaradzić. Ale najgorsze miało dopiero nadejść.

Uniósł głowę i dojrzał w oddali srebrzystą poświatę. Nie miał już żadnych wątpliwości, że oto znalazł się oko w oko z Władcą Zabijającego Uśmiechu. Łatwo było przewidzieć finał owego spotkania. Art nie próbował szukać dróg ucieczki ani też nie błagał duchów opiekuńczych o pomoc. Po prostu nie był do tego zdolny. Totalna bezradność i ogólny paraliż - tak można było określić w kilku słowach stan jego ducha i ciała. Art doznawał udręki, o jakiej, przeciętnemu śmiertelnikowi nigdy się nie śniło.

Do jego umysłu przedarły się tak ohydne odczucia, że aż zamarł wewnątrz jak po odbierającym dech uderzeniu. To coś penetrowało jego jaźń i narzucało swoją wolę, Dyszało wstrętem, pogardą i nienawiścią. Zdawało się rozdzierać jego osobowość na strzępy, wlewało

obrzydliwe poczucie rozkładu, świadomość zgnilizny, która powinna być celem jedynym i ostatecznym wszechrzeczy. Chciał protestować, ale ciało w dalszym ciągu było poza zasięgiem jego władzy, co wcale nie umniejszało wewnętrznych cierpień. Resztki zdrowego rozsądku pękały, kruszyły się i odpadały zeń, podobnie jak odpada gruz z rażonego ciężkim pociskiem muru. Srebrzysta poświata, falując, zbliżała się nieuchronnie. Teraz wyraźnie widział jej podobieństwo do twarzy wykrzywionej w uśmiechu. Jego męka była tak wielka, że jedynym wyzwoleniem od niej wydawała się śmierć. A siła, która nim zawładnęła, również podpowiadała to rozwiązanie. Zapragnął więc agonii, jak człowiek, który pragnie uwolnienia od śmiertelnej choroby, bo przecież i tak już wszystko straciło dla niego sens i na nic nie oczekuje. Chciał wyzwolić się i zanurzyć w ciemności niebytu, w której niczego się nie odczuwa. Żądza mordy pochłaniała go niczym wielka powódź, uderzała w obolały, znajdujący się na granicy unicestwienia umysł, topiła całe wnętrze...

CAŁE?!

Nie, gdzieś na dnie wciąż jeszcze pełgał nikły ognek, światłość, do której nie potrafił dotrzeć. A jednak była w nim, tliła się niczym resztki żaru z wypalonego ogniska. Cóż mogła oznaczać? Z wysiłkiem próbował przebić się do tego światła, odczytać wspomnienie, które je podsycało. Owa siła, co go opętała, broniła tam dostępu, odpędzała, pragnęła stłumić i zadusić tę część jego jestestwa. A przecież nie była w stanie. Z desperacją człowieka tonącego przedzierał się przez stworzoną przez nią barierę, jakby się próbował wynurzyć ponad powierzchnię zła. I, o dziwo, z wielkim oporem, ale jednak był coraz bliżej. To wspomnienie...

I nagle dotarł, a rozpaczliwe wołanie rozległo się w nim niczym wielki krzyk tysięcy gardel. W uszach, niby echo, zabrzmiały słowa Strażników Czuwania: ŚWIATŁEM ŚWIATŁA... To wołanie i na nowo odkryte w sobie poczucie braterstwa wstrząsnęły jego Ja. I wtedy pojął sens ludzkich nadziei oraz ludzkich oczekiwań.

Zabijająca lek światłość wybuchnęła w nim z całą siłą. Jak pożar ogarnęła jego umysł. Nie był to żywioł, który niszczy. Istnieją płomienie - myślał odurzony - które nie palą, ale liżą, podobnie jak fala liże piaszczysty brzeg oceanu...

Skojarzenie z oceanem obudziło w nim nieokreśloną tęsknotę, coś na podobieństwo nostalgii, gorzkiej, przejmującej aż do ostatniej tkanki. Otrząsnął się jak z okrutnego snu. Moja twarz - powiedział w duchu - co się dzieje z moją twarzą? Zdawała się przewodzić wewnętrzną ciepłotę, wypromieniowywać i sama jakby rozpalać od niej. Wtedy zrozumiał, że się uśmiecha.

Falująca przed nim maska zbladła, skurczyła się i poczęła oddalać niby skrawek mgły, w którą uderzył i rozproszył ostry podmuch wiatru.

Znowu czuł drżenie murów, lecz teraz odbierał je w całkiem inny sposób, tak jakby od środka wzbierał podmuch eksplozji, która zaraz je rozsadzi. Art oprzytomniał zupełnie. Podniósł z ziemi miecz i zapiął pas na biodrach. Następnie odszukał i wsunął na palec pierścień. Teraz opal świecił jasno.

Ciął ostrzem broni w wibrującą ścianę. Nie miał już żadnych wątpliwości, że za nią znajduje się generator promieni Q. Gdy mur ustąpił, nie tracąc czasu zaatakował całą energią Mocy. Z jego

wyciągniętej do przodu ręki spłynęło potężne wyładowanie i jaskrawą kulą potoczyło się ku szarej, pełnej wklęsłości, zagięć i obłych narostów piramidzie. Generator ogarnęła pożoga. Mury wokół zaczęły trzeszczeć i rysować się. Jak oszalały wybijał w nich otwory i przedzierał się na oślep. Jego napięta psychika mściła się za upokorzenia, całą udrękę oraz za to, że obdarto ją z odruchów człowieczych i próbowano zwabić do świata zła.

- Światło z wami! - krzyczał w ekstazie.

Poruszał się jak niewidomy, który nic nie słyszy. Cały ból wnętrza zdawał się przeistaczać w potężny ruch ramion rozłupujących ściany.

Opamiętał się nieco na jednym z długich korytarzy. Blask opalu oświetlił kłębek szmat pod ścianą. Szmaty te poruszały się i kiedy podszedł bliżej, ze zdumieniem zobaczył, że kryją pod sobą człowieczą sylwetkę. Sylwetka ta wiała się i czołgała niczym raniony płaz. Chwycił ją w dłonie i uniósł. To była kobieta. Nie namyślając się wiele, zarzucił ją na ramię. Ważyła tyle co nic i fakt ten przepelnił go nową porcją goryczy.

Słabnące mury poddawały się z coraz większą łatwością i wkrótce znalazł się na otwartej przestrzeni. Wszędzie wałały się nieruchome kadłuby czarnych pancerzy. Deptał po nich i gdy pękały z suchym trzaskiem - miał jakąś dziką satysfakcję. Oto został zamknięty pewien rozdział czasu, po którym niewiele przetrwa. Może trochę niemiłych, zniechęcających do rozpamiętywania wspomnień, jak po złym śnie, gdy otwieramy oczy prosto w jasny dzień i nie chcemy myśleć o grozie, od której uwolniła nas jawa.

Klucząc ulicami dotarł do głównej bramy Tarasowały ją martwe pojazdy. Widocznie niektórzy, rozumiejąc że to już koniec ich panowania, chcieli się wydostać i uciec z miasta mogiły. Wdrapując się na tę sztuczną górę, Art próbował sobie wyobrazić ich ostatnie chwile. Ale było to bezsensowne, jak wszystko, co dotyczyło świata odczuć tej obcej rasy.

Zeskoczył na miękką trawę i odbiegł kilka kroków dalej. Jeszcze raz, jakby w geście ostatecznego pożegnania, odwrócił się w kierunku miasta. Właśnie zaczęło się zapadać i rozsypywać w proch. Stanowiło to jakby uwieńczenie dzieła, którego się podjął. Jednak nie odczuwał dumy z tego powodu. Po prostu cała historia przestała go interesować.

Ostrożnie zdjął kobietę z ramienia, położył na ziemi i ocucił. Była słaba, wychudła i zniszczona - nieomal na granicy kompletnego wycieńczenia. Otarł jej przybrudzone i zapadłe policzki. Z twarzy nie można było odczytać wieku ani nawet określić w przybliżeniu, czy kobieta jest stara, czy młoda. Drżała na całym ciele. Widział w tym lęk istoty dręczonej i upokarzanej dzień po dniu, przez całe lata. Ale dlaczego właśnie jego się obawiała?

Popatrzył na swoją zbroję i zrozumiał. Okrywał ją czarny pył.

- No tak - mruknął niby do siebie, ale wystarczająco głośno, aby go dosłyszała - wzięłaś mnie za jednego z tamtych...

Zdjął zakurzony hełm z głowy i odłożył go na trawę. Potem wyjął z pochwy miecz i uniósł go

do góry.

- Poznajesz tę broń? - spytał spokojnie, bez tonu obłudnej skromności. - To dziedzictwo Totamarów.

Kobieta odetchnęła z ulgą.

- A więc jesteś Rycerzem Światłości - rzekła i chciała się unieść, aby okazać mu swój szacunek.

- Daj spokój - powstrzymał ją gestem nakazującym posłuch.

Jej głowa opadła na trawę, a oczy spojrzały ku górze.

- Patrz, wschodzą słońca - wyszeptała. - To dobry znak. - Potem coś jeszcze zamruczała do siebie, ale nic z tego nie zrozumiał.

Na niebie, jak przez rzadniejący opar mgły, poczęły się przebijać ogniste dyski słońc: fioletowego i żółtego. Nagle cała kopuła ponad Artem zagrała odcieniami wielu barw. Polichromatyczne smugi, drżąc jeszcze nieśmiało, przebiegały z zachodu na wschód. Tuż nad widnokregiem rozpalały się gwałtownym blaskiem i gasły jakby wchłonięte przez linię horyzontu. Art patrzył zdumiony, że trawy odżywają, unoszą się i również zaczynają płonąć barwami widma. Ziemia parowała wilgocią, dyszała niczym wielkie zwierzę, które dopiero co otworzyło paszczę, by zaczerpnąć kilka pierwszych, głębokich oddechów. Gdzieś nad nimi odezwał się świergot ptaka. W oddali, z tuneli podziemnych miast, wyłaniały się człowiecze sylwetki.

- Aur znowu żyje - westchnęła kobieta. - Światło z tobą, rycerzu.

- I z tobą - odrzekł.

I nagle powróciło wspomnienie tego, co przeszedł. Ruszył przed siebie krokiem pogrążonego w transie. Zatoczył się kilka razy. Cała wewnętrzna euforia minęła.

Teraz, jakby na nowo, przeżywał wszystko to, czego przez wiele godzin nie miał czasu przeżyć, wciągnięty w wir walki na śmierć i życie. Teraz dopiero przyszedł prawdziwy lek i niepewność, nienawiść i wyczerpanie, cała rozpacz i świadomość ograniczeń własnego ciała, śmierć zagładająca w oczy i człowiecze odruchy wstrętu do zabijania. Czuł się jak obtłuczony i wszystko go bolało aż po najgłębszą cząstkę ciała i umysłu. Cały dygotał i nogi ciążyły gorzej niż kamienie. Zacisnął zęby, żeby nie krzyknąć. Szczęście, mój Arturze - myślał - to mydlana bańka. Wciąż powinieneś o tym pamiętać, a jednak ciągle zapominasz. Poruszony, zgarbił się i przetarł dłońmi twarz, jakby chciał usunąć z niej osad znużenia, co napinał i usztywniał skórę. Brzemie, które tak lekkomyślnie wziął na swoje barki, zdawało się go przerastać i ciążyć aż do granic niemożliwości. Lecz gdy usłyszał śmiech i zbliżające się doń głosy, uniósł głowę.

Ku niemu podchodziły istoty, z którymi związał się na zawsze. Tak jak oni, był teraz Dzieckiem Światła. Przewyciężając swoją słabość, uniósł rękę w geście powitania. Nad Aur dalej rozpalał się wieczny dzień. Znów spojrzał w niebo. Poza powłoką barwnej atmosfery był cały wszechświat. Czy

było to daleko, czy blisko - nie miało żadnego znaczenia. Kosmos jest wystarczająco wielki, by pomieścić w sobie cały ocean zła. A jemu los wyznaczył rolę tratwy pływającej na przekór nieposkromionej potędze fal.